

Dwa niebezpieczeństwa zagrażają Francji w powojennym świecie. Jedno stosunkowo bliskie, drugie – znacznie bardziej odległe, ale też nieporównanie poważniejsze. Tym bliższym jest niebezpieczeństwo niemieckie, niebezpieczeństwo nie militarne, lecz gospodarcze, a więc i polityczne. Rzecz w tym, że Niemcy, nawet po odpadnięciu od nich prowincji wschodnich, dysponują takim potencjałem gospodarczym, że nieuniknione włączenie tego kraju (który będzie się usiłowało uczynić demokratycznym i pokojowym) do systemu europejskiego musi doprowadzić do zepchnięcia Francji – jeśli nie zareaguje ona energicznie i zarazem rozumnie – do rangi drugorzędnego mocarstwa Europy kontynentalnej.

IMPERIUM ŁACIŃSKIE
ZARYS DOKTRYNY POLITYKI FRANCUSKIEJ
ALEXANDRE KOJÈVE

Niebezpieczeństwo odleglejsze jest co prawda mniej pewne, ale za to może okazać się śmiertelne, w pełnym sensie tego słowa. Jest nim groźba wciągnięcia Francji w III wojnę światową, w której znów posłużyłaby za pole bitwy, powietrznej lub innej. Otóż nie ulega wątpliwości, że w takim wypadku, niezależnie od wyniku konfliktu, Francja nie zdołałaby już nigdy naprawić szkód, które nieuchronnie by poniosła, przede wszystkim pod względem demograficznym, ale też w sferze gospodarczej i wręcz cywilizacyjnej.

Tak więc zarówno zewnętrzna, jak wewnętrzna polityka Francji staje wobec dwóch zadań o pierwszorzędnym znaczeniu, w praktyce określających wszystkie inne:

- po pierwsze – zapewnić sobie, na ile to tylko możliwe, rzeczywistą neutralność w razie wojny między Rosjanami i Anglosasami;
- po drugie – w czasie pokoju na przekór Niemcom utrzymać kraj w pierwszym szeregu gospodarczym i politycznym niezsowiezowanej Europy kontynentalnej.

Właśnie z myślą o przedstawieniu koniecznych i wystarczających warunków, w jakich ten dwoisty cel ma szansę stać się faktem, napisane zostały poniższe strony.

I. SYTUACJA HISTORYCZNA

1.

Nie ulega wątpliwości, że jesteśmy obecnie świadkami decydującego zwrotu historii, porównywalnego z tym, który dokonał się pod koniec Średniowiecza. Początki czasów nowożytnych cechuje niepowstrzymany proces stopniowego eliminowania dzielących całości narodowe feudalnych formacji politycznych i powstawania w ich miejsce królestw, czyli państw narodowych. Z kolei te państwa narodowe będą obecnie stopniowo, lecz nieuchronnie wypierane przez wykraczające poza narodowe ramy formacje polityczne, które możemy określić terminem „Imperiów”. Państwa narodowe, wszechpotężne jeszcze w XIX wieku, przestają być podmiotami politycznymi, państwami w mocnym sensie tego słowa, tak jak przestały być państwami średniowieczne baronie, wolne miasta i arcybiskupstwa. Nowoczesne państwo, współczesny podmiot polityczny, wymaga podstawy szerszej niż naród w ścisłym sensie tego słowa. Żeby być politycznie zdolne do życia, nowoczesne państwo musi opierać się na szerokim „imperialnym” związku spowinowaconych narodów. Prawdziwym państwem może być obecnie tylko Imperium.

Proces historyczny, który niegdyś doprowadził do zastąpienia formacji feudalnych przez państwa narodowe, a obecnie znosi narody, zastępując je Imperiami, wynika z przyczyn ekonomicznych, prowadzących do politycznych następstw pod wpływem wymogów techniki wojskowej. Potęgę polityczną średniowiecznych formacji przednarodowych zrujnowało pojawienie się broni palnej, a zwłaszcza artylerii. Feudalny władca – baron, biskup, miasto itp. – był w stanie uzbroić swoich obywateli-wasali w miecze i piki, i trwał politycznie dopóty, dopóki takie uzbrojenie wystarczyło do prowadzenia wojny, w której stawką byłaby jego polityczna niezawisłość. Kiedy jednak do obrony niezbędna stała się artyleria, podstawy gospodarcze i demograficzne feudalnych formacji politycznych okazały się za słabe, toteż zostały stopniowo wchłonięte przez państwa narodowe, które jako jedyne były zdolne odpowiednio się uzbroić. Podobnie potencjał gospodarczy i demograficzny państw narodowych wystarczał – i wciąż wystarcza – żeby utrzymać wojsko, mające za całe uzbrojenie karabiny, broń maszynową i działa. Ale wojska takie w chwili obecnej nie są już skuteczne. Są bezsilne wobec armii naprawdę nowoczesnej, czyli zmotoryzowanej i pancерnej, w której istotną rolę odgrywa lotnictwo. Otóż ściśle narodowa gospodarka i demografia nie są w stanie wystawić wojsk tego rodzaju,

utrzymywać je mogą tylko Imperia. Wcześniej lub później zatem owe Imperia wchłoną w sensie politycznym państwa narodowe.

O tej zasadniczej słabości demograficznej i ekonomicznej, a w konsekwencji militarnej – a więc i politycznej – państw narodowych świadczy w szczególności uderzający sposób przykład III Rzeszy. Przez całe wczesne i środkowe Średniowiecze Niemcy dążyły do zrealizowania pewnego imperialnego projektu, anachronicznego i przedwczesnego jednocześnie, a więc utopijnego, czyli pozbawionego realnej bazy w teraźniejszości, w konsekwencji zatem – niewykonalnego. Próby realizacji tego projektu i ich nieunikniona klęska sprawiły, że Niemcy wkroczyły we właściwy okres feudalny, a następnie wyszły z niego ze stu pięćdziesięcioletnim opóźnieniem, którego nigdy już nie zdołały nadrobić (ponieważ nie mogły lub nie chciały przyspieszyć tego procesu za pomocą aktu rewolucyjnego). Hitler rozpoczął więc swe działania polityczne z półtorawiekowym opóźnieniem. I dlatego wymyślił i stworzył swoją III Rzeszę jako państwo ściśle odpowiadające zrodzonemu pod koniec Średniowiecza ideałowi „narodowemu”, który osiągnął swą postać doskonałą w rewolucyjnej ideologii i rzeczywistości, znaczonej nazwiskami Robespierre’a i Napoleona. Jest bowiem oczywiste, że hitlerowski slogan „*Ein Reich, ein Volk, ein Führer*” jest po prostu przetłumaczonym (kiepsko) na niemiecki hasłem rewolucji francuskiej: „Republika jedna i niepodzielna”. I można powiedzieć, że Führer to tylko niemiecki, czyli anachroniczny Robespierre, który – uporawszy się ze swoim Termidorem – zdołał sam podjąć realizacyjne działania Napoleona. Zresztą Hitler sam bardzo dobrze wyraził istotę i sprężynę swej działalności politycznej, stając na czele ruchu nazwanego „narodowym socjalizmem”, świadomie zwalczającego zarówno sowiecki „imperialny socjalizm”, jak i anglosaski „imperialny kapitalizm”. Ogólnie mówiąc, III Rzesza była z całą pewnością państwem narodowym w pełnym i ścisłym sensie tego słowa. Było to państwo, które z jednej strony dążyło do zrealizowania wszystkich możliwości polityki narodowej, z drugiej zaś chciało używać wyłącznie potęgi narodu niemieckiego, świadomie, jako państwo, utrzymując się w granicach (etnicznych) tego narodu. I cóż – to „idealne” państwo narodowe przegrało swoją decydującą wojnę polityczną.

Aby wytłumaczyć całkowitą klęskę wojskową, a więc polityczną tego państwa narodowego, nie sposób powoływać się na jego ograniczoną bazę narodową, jak chętnie się to robi, kiedy mowa o piorunującym zmiążdżeniu innych państw narodowych – polskiego, norweskiego, holenderskiego, belgijskiego,

jugosłowiańskiego i greckiego. Nie można też mówić o niezdolności militarnej, którą „wyjaśnia się” niekiedy los faszystowskich Włoch (również wybitnie narodowych). Wreszcie nie może też być mowy o „przyczynach”, które wymienia się często, kiedy mowa o zawaleniu się Francji: o chaosie, krótkowzroczności, chorej polityce wewnętrznej itp. Niemieckie państwo narodowe dysponowało osiemdziesięciu milionami obywateli narodowości niemieckiej, którzy wykazali się nad podziw wysokimi cnotami wojskowymi i obywatelskimi (choć nie moralnymi). Mimo to nadludzki wysiłek polityczny i militarny tego narodu przyniósł w rezultacie jedynie odwleczenie końca, który zaiste można było nazwać „nieuchronnym”.

Przyczyną zaś owej „nieuchronności” był właśnie ów wybitnie i świadomie narodowy charakter państwa niemieckiego. Bo żeby udźwignąć ciężar nowoczesnej wojny, III Rzesza musiała zająć i wyzyskiwać kraje nieniemieckie, oraz sprowadzić przeszło dziesięć milionów pracowników cudzoziemskich. Państwo narodowe nie jest jednak w stanie asymilować ludzi innej narodowości i musi ich traktować politycznie jak niewolników. Tak więc już sama „nacjonalistyczna” ideologia Hitlera wystarczyłaby do storpedowania imperialnego projektu „Nowej Europy”, którego realizacja była warunkiem niemieckiego zwycięstwa wojennego. Można zatem powiedzieć, że Niemcy przegrały tę wojnę dlatego, że chciały ją wygrać jako państwo narodowe. Bo nawet osiemdziesięciomilionowy naród złożony z obywateli politycznie „doskonałych” nie jest zdolny udźwignąć wysiłku, jakiego wymaga nowoczesna wojna, a więc zapewnić politycznego istnienia swego państwa.

Przykład niemiecki dowodzi jasno, że w naszych czasach naród, każdy naród, który upiera się utrzymywać swoją narodową wyłączność polityczną, musi wcześniej lub później przestać politycznie istnieć – bądź w wyniku pewnego procesu pokojowego, bądź w następstwie klęski militarnej. Obecna wojna, prowadzona przez Imperia, rozproszyła złudzenia wojny lat 1914–1918 i okazała się ostatnim aktem wielkiej tragedii, którą od pięciu wieków odgrywały państwa narodowe.

2.

W istocie polityczna bezprzedmiotowość narodów ujawniła się, wprawdzie niezbyt wyraziście, już pod koniec dziewiętnastego wieku i wtedy też została bardziej czy mniej jasno uznana. Z jednej strony „burżuazyjny” liberalizm głosił dosyć otwarcie koniec państwa jako takiego, czyli kres ściśle politycznego istnienia narodów. Nie wyobrażając sobie państwa poza ramami narodowymi, a jednocześnie zdając sobie

bardziej czy mniej świadomie sprawę, że państwo narodowe nie jest już politycznie zdolne do życia – liberalizm proponował, by dobrowolnie je zlikwidować. Formację z istoty swej polityczną, czyli w ostatecznym rachunku militarną, jaką jest państwo we właściwym sensie tego słowa, miała zastąpić zwykła administracja gospodarcza i socjalna, ewentualnie policyjna, będąca w dyspozycji i w służbie „społeczeństwa” (skądinąd pojmowanego jako agregat jednostek, bo właśnie jednostka miała w swej odrębności uosabiać i ujawniać najwyższe ludzkie wartości). W ten sposób rozumiana liberalna administracja „państwowa” miała być dogłębnie pokojowa i pacyfistyczna. Inaczej mówiąc, była właściwie pozbawiona „woli mocy”, a w konsekwencji – pobudzającej do działania potrzeby oraz skutecznego pragnienia tej „niezawisłości” czy też autonomii politycznej, która stanowi samą istotę prawdziwego państwa. Z drugiej strony „internacjonalistyczny” socjalizm wyrażał przekonanie, że naród traci obecnie podmiotowość polityczną na rzecz ludzkości jako takiej. Jeśli państwo miało mieć jeszcze jakiś polityczny sens i rację bytu, to tylko pod warunkiem, że za swoją podstawę uzna „ludzki ród”. Skoro zaś podmiotowość polityczna opuszcza narody i przenosi się do ludzkości, to jedynym państwem (tymczasowo narodowym), które na dłuższą metę okaże się politycznie zdolne do życia, będzie takie, które za swój pierwszy i najwyższy cel będzie miało ogarnięcie całej ludzkości. Z tej to „internacjonalistycznej” czy też „socjalistycznej” interpretacji sytuacji historycznej zrodził się komunizm rosyjski w swej pierwszej fazie, i w konsekwencji – sprzężenie państwa radzieckiego z III Międzynarodówką.

Otóż w istocie interpretacja internacjonalistyczno-socjalistyczna jest równie błędna jak pacyfistyczno-liberalna. Liberalizm myli się, nie wyobrażając sobie żadnej formacji politycznej szerszej od narodu. Internacjonalizm natomiast błędzi, nie dostrzegając nic politycznie zdolnego do życia poniżej ludzkości. Podobnie jak liberalizm, nie dostrzegł pośrednich, prawdziwie współczesnych podmiotów politycznych, jakimi są Imperia, czyli międzynarodowe związki bądź fuzje narodów spowinowaconych. O ile naród rzeczywiście przestaje być podmiotem politycznym, o tyle ludzkość jest jeszcze – politycznie – abstrakcją. Dlatego internacjonalizm jest obecnie „utopią”. W naszych czasach uczy się on na własnym przykładzie, że nie można przeskoczyć od narodu do ludzkości, nie przechodząc przez etap Imperium. Podobnie w Średniowieczu Niemcy musiały pogodzić się z tym, że nie można dojść do Imperium, nie przechodząc przez etap feudalny, a potem narodowy. Hegłowski

Weltgeist opuścił narody i zanim wcieli się w ludzkość – zamieszkuje obecnie Imperia.

Geniusz polityczny Stalina na tym właśnie polega, że to zrozumiał. Polityczna orientacja na ludzkość charakteryzuje utopię trockistowską, której sam Trocki był najbardziej wyrazistym, ale bynajmniej nie jedynym przedstawicielem. Zwalczając Trockiego i obalając – w Rosji – „trockizm”, Stalin włączył się we współczesną rzeczywistość polityczną i stworzył z ZSRR Imperium słowiańsko-sowieckie. Jego antytrockistowskie hasło budowy „socjalizmu w jednym kraju” zrodziło ów „sowietyzm” czy, jak kto woli, „imperial-socjalizm”, który urzeczywistnia się w obecnym imperialnym państwie sowieckim i poprzez nie, i któremu „klasyczny” internacjonalizm drugiej, trzeciej czy innej Międzynarodówki nie jest do niczego potrzebny. Ten „imperial-socjalizm”, który okazuje się politycznie zdolny do życia, przeciwstawia się na równi „trockistowskiej” utopii „humanitarnego” socjalizmu internacjonalistycznego, jak i hitlerowskiemu anachronizmowi narodowego socjalizmu, opartego na politycznie przestarzałej podstawie narodu.

Również w zrozumieniu faktu imperialnego wyraża się geniusz polityczny przywódców państwa angielskiego, zwłaszcza Churchilla. To państwo już przed wojną miało strukturę imperialną, czyli ponad- i międzynarodową w postaci British Commonwealth, związku dominiów. Ale nawet to „Imperium” – wciąż jeszcze nazbyt „narodowe” – okazało się niewystarczające, by ustabilizować się politycznie w warunkach stworzonych przez obecną wojnę. Sprawnym i efektywnym podmiotem politycznym jest obecnie Imperium anglosaskie, czyli anglo-amerykański blok polityczno-gospodarczy. A geniusz polityczny Anglii przejawia się w tym, że zrozumiała to, wyciągnęła z tego faktu wnioski i pogodziła się z jego konsekwencjami. Toteż zamiast liczyć (jak Niemcy) na urojone i spektakularne „rozbieżności” anglo-amerykańskie, które – jeśli nawet istnieją – mogą być tylko przejściowe, należałoby myśleć i działać politycznie, biorąc pod uwagę istnienie w nowoczesnym świecie bloku anglosaskiego, solidnie i ściśle zjednoczonego zarówno przez gospodarkę, jak przez politykę.

3.

Próżnym wysiłkiem byłoby starać się na dłuższą metę utrzymać gdzieś polityczny fakt narodowy w świecie, w którym istnieją już Imperia: Imperium anglosaskie lub anglo-amerykańskie, oraz Imperium słowiańsko-sowieckie. Nawet naród niemiecki,

zdecydowanie najpotężniejszy z narodów w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie byłby już w stanie prowadzić w takim świecie zwycięskiej wojny, jest więc niezdolny utrwalić się w nim politycznie jako państwo. I można się spodziewać, że nawet ten dogłębnie „utopijny” lud, charakteryzujący się zadziwiającym brakiem wycucia realiów politycznych, nie podejmie już nigdy wojny z tymi dwoma Imperiami jednocześnie. Inaczej mówiąc – jutrzejsze Niemcy muszą przyłączyć się politycznie do jednego lub drugiego z tych Imperiów.

Można zresztą przewidzieć, że będą się orientowały na stronę anglosaską. I nie ryzykując pomyłki – można założyć, że blok anglo-amerykański przekształci się niedługo w Imperium germańsko-anglosaskie. Bo za dziesięć lub piętnaście lat potęga gospodarcza i militarna (czyli polityczna) ZSRR będzie wymagała i wymusi istnienie w Europie jakiejś przeciwwagi. Otóż doświadczenie roku 1940 dowodzi, że tej roli na pewno nie będzie mogła spełnić Francja. Tylko Niemcy (wsparte przez świat anglosaski) są zdolne ją odegrać, nie ulega zatem wątpliwości, że przyszłe pokolenie zobaczy Niemcy na nowo uzbrojone.

To prawda, że przyłączenie się Niemiec do Imperium słowiańsko-sowieckiego nie jest absolutnie niemożliwe, jest jednak bardzo mało prawdopodobne, czy też praktycznie wykluczone. Przede wszystkim dlatego, że Germanów dzieli od Słowian wrogość wzgardliwa, głęboka i odwieczna, podczas gdy „powinowactwo” narodowe między Niemcami i Anglosasami, podszyte szczerą, choć nie zawsze odwzajemnianą sympatią do Anglii, sugeruje Niemcom orientacją anglosaską. Następnie dlatego, że protestancka inspiracja państwa prusko-niemieckiego zbliża je do nowożytnych państw anglosaskich, również zrodzonych z Reformy, przeciwstawia je zaś państwom słowiańskim o tradycji prawosławnej. W dodatku zewnętrzne oznaki anglosaskiej potęgi i zamożności, o których świadczy między innymi traktowanie jeńców i zachowanie się wojsk okupacyjnych, tym bardziej imponują Niemcom, że żywili oni zawsze bezgraniczny podziw dla swych kuzynów zza kanału La Manche, gdy tymczasem obrazy spustoszenia, jakie widzieli w ZSRR, wytworzyły, jak się zdaje, wrażenie „antysowieckie” nawet w masach robotniczych i w środowiskach komunizujących. Wszystko to nasuwa zatem przypuszczenie, że ludzie, którzy będą kiedyś sprawować władzę w Niemczech, mając wybór między Anglosasami i Rosjanami – opowiedzą się bez zastrzeżeń za tymi pierwszymi. Wydaje się zresztą, że tak się ocenia sytuację w Londynie. I można odnieść wrażenie, że nawet Moskwa nie

sądzi, by polityczne wchłonięcie Niemiec było możliwe. Inaczej bowiem trudno byłoby zrozumieć zarówno zlikwidowanie III Międzynarodówki, jak słowiańsko-prawosławne aspekty polityki sowieckiej.

Co się jednak tyczy losów politycznych samej Francji, to alternatywa, przed jaką stoją Niemcy, przedstawia – wbrew pozorom – interes czysto teoretyczny. Gdyby Niemcy miały zostać „zsowietyzowane”, Francję czekałby z pewnością wcześniej czy później ten sam los. W drugim zaś wypadku zostałaaby sprowadzona do drugorzędnej roli militarnego i gospodarczego, a następnie politycznego *hinterlandu* Niemiec, które stałyby się wysuniętym posterunkiem wojskowym Imperium anglosaskiego. W obu zatem wariantach sytuacja Francji jest politycznie nie do utrzymania. Ale, co może mniej oczywiste, chociaż równie niewątpliwe, sytuacja taka jest nieznośna, nawet abstrahując od Niemiec i zakładając – wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu – że pozostaną one na zawsze politycznie i gospodarczo bezsilne, czyli rozbrojone. Sam fakt istnienia Imperiów anglosaskiego i słowiańsko-sowieckiego czyni czymś iluzorycznym autonomię polityczną narodu francuskiego, liczącego zaledwie czterdzieści milionów członków. Jest on bowiem o wiele za słaby, żeby prowadzić „politykę wahadła” i „grać na rozbieżnościach” rosyjsko-anglosaskich. A jego tradycyjny zdrowy rozsądek polityczny nie pozwoliłby mu zresztą nigdy naśladować absurdalnej gry politycznej Polski pułkownika Becka. Izolowana Francja będzie musiała wybrać między dwoma ścierającymi się Imperiami. Otóż sytuacja geograficzna, tradycje ekonomiczne i polityczne oraz klimat psychologiczny określają jednoznacznie wybór kierunku anglosaskiego. Przyszłością Francji samotnej jest zatem bardziej czy mniej zamaskowany status dominium. I taki będzie również los innych narodów Europy Zachodniej, jeśli uparcie będą pozostawały w swej „narodowej” izolacji politycznej.

Z punktu widzenia społecznego, ekonomicznego i psychologicznego to rozwiązanie może się zdawać do przyjęcia. I w istocie – jeśli jest ono absolutnie wykluczone, to tylko ze ściśle politycznego punktu widzenia, oznacza bowiem całkowite i ostateczne zniknięcie naprawdę godnego tej nazwy państwa narodowego. Otóż doświadczenie historyczne dowodzi, że cywilizacja pozbawiona swych ram politycznych sama ulega głębokim przekształceniom, jałowuje, stopniowo się rozprzęga i dość prędko traci tę swoistą wagę, jaką miała w świecie, dopóki była cywilizacją państwa. Kto chciałby zachować istnienie i promieniowanie tradycyjnej cywilizacji łacińsko-katolickiej, będącej również cywilizacją Francji (która zresztą przyczyniła się do jej

ukształtowania znacznie bardziej niż wszystkie inne narody łacińskie razem wzięte), musi nadać jej wystarczającą w określonych warunkach historycznych podstawę polityczną. I kto by to zrobił, przysłużyłby się nie tylko interesom kulturalnym własnego kraju, ale również interesom całej ludzkości. Bo Anglosasi, Germanie i Słowianie nie posiadają i nie będą posiadali nigdy tego, co Latynowie, z Francuzami na czele, ofiarowali i wciąż jeszcze ofiarowują cywilizowanemu światu.

Otóż jeśli się chce utrzymać wartości łacińskie i katolickie, będące również wartościami wybitnie francuskimi, i zapewnić im promieniowanie na cały świat, albo innymi słowy – jeśli się nie chce pozostawić politycznego świata do podziału wrogim sobie i antagonistycznym siłom Imperiów słowiańsko-sowieckiego i anglosaskiego, jeśli się chce, by do tych dwóch mocarstw – reprezentujących także dwie cywilizacje – doszło trzecie, amortyzujące, pokojowe, syntetyzujące, to nie naród, nie konkretnie Francję należy z nimi skoordynować. Obok wywodzącego się z prawosławnej tradycji Imperium słowiańsko-sowieckiego i przenikniętego duchem protestanckim Imperium anglosaskiego, a może germano-anglosaskiego, należy stworzyć Imperium Łacińskie. Tylko takie Imperium osiągnie poziom polityczny równy dwóm już istniejącym, bo tylko ono będzie zdolne przetrwać ewentualną wojnę, w której stawką byłoby jego istnienie. I tylko stając na czele takiego Imperium, Francja mogłaby utrzymać właściwą sobie swoistość polityczną, a w konsekwencji – kulturalną.

Ta możliwość prowadzenia wojny nie oznacza zresztą bynajmniej, że trzeba ją będzie rzeczywiście prowadzić. Wręcz przeciwnie, tylko stając się częścią Imperium Łacińskiego, do którego powstania powinna doprowadzić, Francja zapewni pokój sobie i całej Europie. Imperium to nigdy nie będzie dość mocne, by zaatakować Imperia z nim współistniejące, toteż jego przywódcy nie będą narażeni na zbyt często spotykaną pokusę przekształcenia swej imperialnej polityki w „imperializm”. Będzie jednak dosyć potężne, by odebrać każdemu chęć zaatakowania go, oczywiście pod warunkiem że nie pokłóci się jednocześnie z obydwoma swymi możliwymi imperialnymi przeciwnikami. Jeśli te dwa Imperia miałyby się kiedyś zetrzeć w konflikcie wojennym, to sam fakt istnienia Imperium Łacińskiego zmusiłby je do ograniczenia pola bitwy między nimi do Azji i Pacyfiku, i do oszczędzenia Europy, która jest zdecydowanie za mała i zbyt cennie „stara”, by rzucić ją na pastwę niszczycielskich narzędzi jutra.

II. SYTUACJA FRANCJI

1.

Obiektywna analiza sytuacji historycznej dowodzi wyraźnie, że gdyby Francja pozostała politycznie izolowana, gdyby upierała się żyć jako naród wyłączny – to musiałaby wcześniej lub później przestać istnieć jako państwo we właściwym sensie tego słowa, jako autonomiczny podmiot polityki. W końcu musiałaby nieuchronnie zostać politycznie wchłonięta przez Imperium anglosaskie, które może przekształcić się w Imperium germańsko-anglosaskie. Otóż biorąc pod uwagę różnice „rasy”, kultury, języka i religii, tradycji i stylu życia, nie może być mowy o prawdziwej fuzji tego Imperium z Francją. Ta bowiem byłaby w nim zawsze ciałem do pewnego stopnia obcym, a w konsekwencji zdolnym do odgrywania roli zaledwie marginalnej i mało wyrazistej, roli satelity, „drugiego”, który w polityce ani nie zawsze, ani niekoniecznie musi być „świątym”. Jednym słowem – w takim wariacie Francja przestałaby być celem samym w sobie i spadłaby do poziomu zwykłego narzędzia politycznego.

Ale gdyby Francja dała się wchłonąć przez Imperium anglosaskie, przestałaby się liczyć nie tylko jej waga ściśle polityczna. Jej gospodarka również odgrywałaby rolę zupełnie drugorzędną, wskutek czego jej mechanizmy ekonomiczne, a w konsekwencji sama jej struktura społeczna musiałyby się stopniowo przekształcać, aby przysposobić się i dostosować do modeli i wymogów przeniesionych z zewnątrz, a przez to często jaskrawo niezgodnych z jej tradycjami i aspiracjami, które będąc z gruntu katolickie i łacińskie, są przecież mimo wszystko autentycznie francuskie. Wreszcie cywilizacja francuska, pozbawiona wsparcia zarówno niezależnej aktywności gospodarczej, jak autonomicznego podmiotu politycznego, także niewiele by ważyła w obrębie świata anglosaskiego i w konsekwencji – świata w ogóle. Francja nie tylko nie promieniowałaby na zewnątrz, lecz uległaby we własnych granicach wpływowi cywilizacji anglosaskiej, dogłębnie protestanckiej w swej nowoczesnej postaci oraz „germańskiej” w tle, wspieranej przez przytłaczający prestiż siły politycznej i gospodarczej potęgi bloku anglo-amerykańskiego. Pierwsze ślady tego wpływu odciskają się już może na sylwetce fizycznej i moralnej młodzieży francuskiej, wychowanej na filmach i powieściach zza kanału La Manche i zza oceanu. Można więc założyć, że wyrzekając się autonomicznego istnienia politycznego, czyli państwa, Francja utraci nie tylko „twarz”, ale też własne oblicze.

Zapowiedzi takiego stanu rzeczy można zresztą zauważyć już dzisiaj. Na przykład stanowisko części obcych krajów i reakcje niektórych – wojskowych i cywilnych – gości Francji¹ dają być może przedsmak jeśli nie wzdąry, to przynajmniej obojętności świata jutra wobec tego kraju i jego cywilizacji. Ale co nieskończenie poważniejsze – katastrofalne konsekwencje depolityzacji pojawiają się już teraz w łonie samego narodu francuskiego. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jego dekadencja, której nikt nie zaprzecza, której nie warto – i przykro – podkreślać, idzie w parze z politycznym osłabieniem kraju, co z kolei wyraża się lub tłumaczy utratą prawdziwej, trzeźwej i skutecznej woli politycznej. Bo trudno zaiste zaprzeczyć, lub choćby nie dostrzec, że Francja przedwczorajsza, wczorajsza, a nawet dzisiejsza nie ma – lub już nie ma – jasnej i uświadomionej idei politycznej. Nie tylko faktycznie, ale nawet w swej świadomości nowoczesny Francuz żyje jako „mieszczanin”, nie jako „obywatel”. Działa i myśli jako „indywidualista” w tym sensie, że interesy prywatne, osobiste są dla niego wartościami najwyższymi lub jedynymi. I jest „liberałem”, „anarchistą” i „pacyfistą” głównie dlatego, że nie chce już znosić ani ciężarów i wymogów „uniwersalnego” bytu państwowego, ani środków, które państwo stosuje, by się utrwalić i utrzymać w swoim istnieniu.

Otóż jest zupełnie oczywiste, że ta depolityzacja Francji i Francuzów wyraża się nie tylko w zewnętrznej i wewnętrznej dekadencji politycznej w ścisłym sensie tego słowa, ale w ogólnym osłabieniu zarówno gospodarczym i społecznym, jak kulturalnym i moralnym. Widzimy więc już teraz, że przestając być państwem wielkim i silnym, przenikniętym skuteczną wolą polityczną – konkretną, pozytywną, ściśle określoną – Francja przestaje być krajem idącym w awangardzie, jakim zawsze dotąd była, i staje się we wszystkich prawie dziedzinach krajem zacofanym.

2.

Często zadawano sobie pytanie o przyczyny tej dekadencji Francji, tak bardzo kontrastującej ze świetną i pełną chwały przeszłością kraju. Wyjaśnienia wskazujące na „degenerację”, „korupcję”, „zmęczenie” itd. są zbyt mętne i ogólnikowe, by naprawdę coś znaczyć. Można, wydaje mi się, podać przyczynę bardziej konkretną, a więc i bardziej przekonującą.

Z jednej strony w sferze ideologii politycznej kraj nadal żyje, bazując na ideach, które zostały ostatecznie wypracowane podczas rewolucji. „Oficjalnym” ideałem

politycznym Francji i Francuzów jest dziś jeszcze koncepcja państwa narodowego, „republiki jednej i niepodzielnej”.

Z drugiej – kraj w głębi duszy zdaje sobie sprawę z niedostatków tego ideału, z politycznej anachroniczności idei ściśle „narodowej”. To prawda, że uczucie to nie osiągnęło jeszcze poziomu idei jasnej i wyraźnej: kraj nie może i nie chce jeszcze jej sformułować otwarcie. Zresztą Francji – właśnie ze względu na niezwykły blask jej przeszłości narodowej – jest szczególnie trudno jasno i wyraźnie uznać i szczerze pogodzić się z tym, że „narodowy” okres historii dobiegł końca i wyciągnąć z tego faktu wszystkie konsekwencje. Trudno krajowi, który stworzył z niczego armaturę ideologiczną nacjonalizmu i wyeksportował ją na cały świat, uznać, że jest to już teraz tylko eksponat nadający się do złożenia w archiwach historycznych, i przyjęć nową, „imperialną”. Ideologię zresztą ledwie zarysowaną, którą należałoby dopiero jasno określić i sformułować, aby wznieść ją na ten poziom logicznej spójności i jasności, jaki cechuje ideologię „narodową”. Mimo to nowa prawda polityczna przenika stopniowo do francuskiej świadomości zbiorowej. Ujawnia się w niej najpierw negatywnie, przez sam fakt, że ideał narodu nie pobudza już woli powszechnej. Przypominanie o potędze niepodzielnej Republiki brzmi głucho i fałszywie, a odwołania do wielkości Francji nie napotykają już echa, jakie budziły jeszcze w latach I wojny światowej.

Chciałoby się powiedzieć, że „przeciętnemu Francuzowi” ostatnia wojna od początku kojarzyła się z dwiema tylko możliwościami politycznymi: polityczno-gospodarczym podporządkowaniem się Francji albo Niemcom, albo Anglii. I rzeczywiście: przynajmniej w pewnych okresach jedyną rzeczą, jaka w tej wojnie wywoływała we Francji „namiętności”, był konflikt między tymi dwoma nurtami „kolaboracyjnymi”; konflikt, w którym krystalizowała się tradycyjna, nieprzejednana i niszczycielska opozycja między prawicą i lewicą. I może właśnie dlatego żołnierz francuski nie dał z siebie wszystkiego w roku 1940 – a po wyzwoleniu ruch oporu wydaje się tylko bardzo bladym odbiciem dawnego pospolitego ruszenia. Jeśli przeciętny Francuz najwyraźniej nie chce umierać, a nawet poddać się dyscyplinie i ograniczyć się po to, by żyła Francja, to może po prostu dlatego, że zdaje sobie bardziej lub mniej świadomie sprawę, że ta Francja z tradycji narodowej i nacjonalistycznej jest już obecnie ideałem politycznie niezdolnym do życia. Bo nikt rozsądny nie będzie chciał poświęcać swych osobistych wartości dla „powszechnego” celu, który jest tylko abstrakcyjną ideą, czyli mirażem przeszłości

lub terażniejszością pozbawioną perspektyw na przyszłość, krótko mówiąc – nostalgicznym marzeniem bądź nieodpowiedzialną awanturą.

3.

W ten sposób zinterpretowane militarne i moralne załamanie się Francji w roku 1940 oraz chorobliwa atmosfera polityczna do dziś w niej panująca wydają się zadatkami odbudowy i odrodzenia kraju.

Można powiedzieć, że taki kraj jak Niemcy, zdolny do kresu sił gnać za swymi złudzeniami, entuzjazmować się romantycznym i literackim marzeniem, poświęcać swe rzeczywiste wartości na rzecz przestarzałego i niezdolnego do życia ideału – znajduje się w sytuacji politycznie beznadziejnej. Ale zademonstrowana przez Francuzów w tej wojnie „odmowa noszenie broni” dowodzi, że woła powszechna może się we Francji skupić jedynie wokół idei prawdziwie i realnie skutecznej, że świadomość polityczna oznacza tu ostre poczucie rzeczywistości i ogólnie biorąc, opiera się na trzeźwym zdrowym rozsądku.

Otóż nie ma żadnego powodu sądzić, że kraj, który ucieka od marzeń – odrzuci rzeczywistość; że ludzie, którzy nie chcą się poświęcać dla anachronicznego złudzenia politycznego – w konkretnej terażniejszości nie podporządkują się w pełni skutecznej idei politycznej, by w ten sposób dokonać ogólnej naprawy życia zbiorowego. W każdym razie jest to doświadczenie, przez które jeszcze we współczesnej Francji nie przeszliśmy. A więc doświadczenie, które należy przeprowadzić.

W tym celu należałoby, wyzbywając się przygniatającego już ciężaru wielowiekowej, pełnej chwały przeszłości narodowej – proklamować jasno i szczerze, że „narodowa” epoka historii jest zamknięta, a Francja raz na zawsze politycznie martwa jako państwo narodowe. Ale powiedziawszy to, trzeba dodać, że ów koniec jest zarazem początkiem, że także w tym wypadku śmierć jest jednocześnie odrodzeniem. Bo naród może i powinien wznieść się ponad siebie w ramach międzynarodowego związku narodów spowinowaconych, w którym – i poprzez który – może i powinien na nowo okazać swoją szczególność kulturalną, społeczną i polityczną, oraz narzucić ją w pokojowym, braterskim, równym i wolnym współzawodnictwie szerszej całości, do której powstania przyczyni się, sam wyrzekając się roli narodu wyłącznego i odrębnego. Jeśli naród umiera tylko po to, by zrodzić Imperium, jeśli abdykacja narodowa jest preludium do wstąpienia na tron

imperialny – ogłoszenie ludowi kresu republiki zamkniętej w sobie i ograniczonej zbyt ciasnymi już granicami na pewno nie podziała zniechęcająco. Przeciwnie, taki akt może przynieść ożywcze skutki polityczne.

W konkretnych realiach obecnej sytuacji historycznej wydaje się, że Francji można przedstawić tylko jedną ideę polityczną naprawdę żywotną, czyli mającą szansę przemówić do świadomości zbiorowej i zrodzić, ukierunkować wolę powszechną. Jest to idea i ideał Imperium łacińskiego, w którym lud francuski miałby za cel i obowiązek pozostać *primus inter pares*.

III. IDEA IMPERIUM ŁACIŃSKIEGO

1.

Epoka, w której podmiotem politycznym stanie się cała ludzkość, jest jeszcze sprawą dalekiej przyszłości. Okres narodowych podmiotów politycznych minął. Żyjemy w epoce Imperiów, czyli jednostek politycznych ponadnarodowych, ale utworzonych przez spowinowaczone narody.

To „powinowactwo” między narodami, które staje się obecnie pierwszorzędnym czynnikiem politycznym, jest niewątpliwie konkretnym faktem, nie mającym nic wspólnego z ideami „rasowymi”, ogólnie niejasnymi i wątpliwymi. „Powinowactwo” narodów jest zwłaszcza i przede wszystkim powinowactwem języka, cywilizacji, ogólnej mentalności lub – jak mawia się również – klimatu. I to duchowe powinowactwo wyraża się również przez tożsamość religii.

Tak rozumiane powinowactwo łączy bez żadnej wątpliwości narody łacińskie – zwłaszcza francuski, włoski i hiszpański. Są to przede wszystkim narody wybitnie katolickie, nawet jeśli zarazem „antyklerykalne”. Na przykład we Francji obserwatora zagranicznego uderza, do jakiego stopnia „wolnomyśliciele”, a nawet protestanci i izraelici są tu przeniknięci bardziej czy mniej zlaicyzowaną mentalnością katolicką, przynajmniej o tyle, o ile myślą, działają i reagują jak Francuzi. Poza tym bliskie powinowactwo języków bardzo ułatwia kontakty między krajami łacińskimi. W konkretnym wypadku Francji, Włoch i Hiszpanii wystarczyłoby w każdym z tych krajów wprowadzić obowiązkową intensywną naukę (która byłaby zresztą bardzo łatwa) jednego z dwóch romańskich języków obcych, by znieść wszystkie niedogodności wynikające z różnic językowych. Zresztą same cywilizacje łacińskie są ze sobą blisko spowinowaczone. Jeśli pewne zapóźnienia rozwojowe mogłyby obecnie

nasuwać myśl o istnieniu głębokich różnic między nimi (zwłaszcza w stosunku do Hiszpanii), to wzajemne przenikanie, jakie występowało u ich zarania (oraz w epoce Odrodzenia, która jest prawdopodobnie okresem historycznym *par excellence* łacińskim), gwarantuje możliwość osiągnięcia w niedługim czasie doskonałej harmonii między różnymi aspektami cywilizacji świata łacińskiego. Ogólnie biorąc, różnice charakterów narodowych nie mogą przesłonić głębokiej „mentalnej” jedności łacińskiej, tym bardziej uderzającej cudzoziemców, że tak często nie zauważają jej sami Latynowie. Trudno, oczywiście, zdefiniować tę mentalność, ale widać od razu, że jest ona w swej głębokiej jedności wyjątkowa. Wydaje się, że swoisty charakter tej mentalności ujawnia się poprzez tę sztukę swobodnego korzystania z czasu, która jest źródłem sztuki w ogóle, przez zdolność stwarzania owej „słodczy życia”, niemającej nic wspólnego z komfortem materialnym, a nawet przez owo *dolce far niente*, które stacza się w zwykłe lenistwo tylko wtedy, gdy nie jest następstwem produktywnej i owocnej pracy (do niej zaś Imperium łacińskie pobudzi przez sam fakt swego istnienia).

Ta wspólna mentalność, której składnikiem jest głęboki zmysł piękna sprzężony na ogół (zwłaszcza we Francji) z bardzo wyraźnym poczuciem umiaru, co pozwala przekształcać w arystokratyczną „słodczy” życia zwykły mieszczański dobrobyt i często wynosić do poziomu radości uciechy, które w innej atmosferze byłyby (i na ogół są) pospolitymi przyjemnościami – ta mentalność nie tylko zapewnia Latynom możliwość stworzenia rzeczywistego, czyli politycznego i gospodarczego związku. W pewnym sensie uzasadnia ona także ten związek w oczach świata i historii. W oczach świata – bo o ile dwa pozostałe imperialne związki będą prawdopodobnie zawsze przewyższały związek łaciński w sferze pracy gospodarczej i walk politycznych, o tyle wolno sądzić, że same z siebie nie zdołają nigdy nadać swemu trybowi odpoczywania doskonałości, którą mógłby w sprzyjających okolicznościach osiągnąć zjednoczony łaciński Zachód. W oczach historii – bo zakładając, że konflikty narodowe i społeczne zostaną kiedyś (w czasach może mniej odległych niż się sądzi) ostatecznie usunięte, trzeba przyznać, że właśnie organizacji i humanizacji czasu wolnego przyszła ludzkość powinna poświęcić swe wysiłki. (Czyż nawet Marks nie powiedział – powtarzając, choć nie zdawał sobie z tego sprawy – słowa Arystotelesa, że ostateczną sprężyną postępu, a więc i socjalizmu jest pragnienie zapewnienia człowiekowi maksimum wolnego czasu?).

Powinowactwo łacińskie, oparte na jedności substancji i genezy, jest samo w sobie potencjalnym Imperium, które wystarczy tylko zaktualizować politycznie w konkretnych warunkach historycznych naszych czasów, skądinąd sprzyjających formacjom imperialnym. I nie trzeba zapominać, że jedność łacińska już w pewnej mierze staje się obecna lub urzeczywistnia się w jedności Kościoła katolickiego i poprzez nią. Otóż w żadnym razie nie należy w naszych czasach lekceważyć aspektu religijnego i kościelnego (wyraźnie odmiennego od „klerykalnego”). Z jednej strony skłonni jesteśmy tłumaczyć wspaniały rozwój krajów germańskich i anglosaskich w czasach nowożytnych ścisłym powiązaniem Kościoła i państwa w świecie protestanckim, a nie ulega też wątpliwości, że Imperium anglosaskie i germano-anglosaskie, dogłębnie „kapitalistyczne”, czerpie do dziś inspirację ze źródeł wyraźnie protestanckich. (Niektórzy socjologowie widzą nawet w protestantyzmie pierwotne źródło kapitalizmu). Poza tym na przekór swym radykalnie ateistycznym początkom ZSRR na nowo odkrył Cerkiew prawosławną i korzysta z jej poparcia zarówno na arenie wewnętrznej, jak zewnętrznej (przede wszystkim na Bałkanach); ZSRR nabiera więc coraz bardziej charakteru Imperium nie tylko słowiańsko-sowieckiego, ale też prawosławnego. Wydaje się zatem, że obie nowoczesne formacje imperialne czerpią częściowo swą zwartość, a więc i potęgę z bardziej czy mniej oficjalnego sprzężenia z odpowiednimi Kościołami. I można uznać, że istnienie Kościoła katolickiego stanowi w obecnych okolicznościach historycznych wezwanie do utworzenia Imperium katolickiego, które może być tylko łacińskie. (Nie zapominajmy zresztą, że katolicyzm zawsze starał się, korzystając często ze środków sztuki, organizować i humanizować „kontemplacyjne”, inaczej mówiąc – nieczynne życie człowieka, podczas gdy niechętny metodom pedagogiki artystycznej protestantyzm zajmował się głównie człowiekiem jako pracownikiem).

Wydaje się, że powinowactwo duchowe i psychiczne łączące narody łacińskie powinno zapewnić ich stosunkom w obrębie Imperium ten charakter wolności, równości i braterstwa, bez którego nie ma prawdziwej demokracji. I wolno nawet sądzić, że tylko ustanawiając demokrację w świecie łacińskim jako całości, można jej odebrać ów „municipalny” charakter, który ją cechuje dopóty, dopóki jest zamknięta w czysto narodowych granicach. Tylko Imperium ze swymi niemal nieograniczonymi zasobami materialnymi wydaje się zdolne umożliwić przekroczenie czczej i paraliżującej opozycji lewica – prawica, nieprzewycięzalnej w obrębie jednego narodu, z definicji biednego, a więc i zajadłego. Wydaje się, że tylko zadania

imperialne są w stanie zrodzić partię odrodzielską, wywodzącą się z tej tradycji – bynajmniej nie „reakcyjnej” – która stanowi o sile Anglii; tradycji, której kraje łacińskie nigdy nie znały i bez której demokratyczne życie polityczne ma zawsze skłonność do staczania się w anarchię i rozprzężenie. Wreszcie organizacja Imperium Łacińskiego, które byłoby czymś zasadniczo innym niż anglosaski Commonwealth czy Związek Radziecki, postawiłaby przed demokratyczną myślą polityczną nieznaną dotąd problemy, które pozwoliłyby jej wreszcie wyjść poza ramy swej tradycyjnej ideologii, dostosowanej do ram wyłącznie narodowych i dlatego anachronicznej. Być może właśnie przez to, że wypadnie jej określać stosunki między narodami w obrębie Imperium (a może w końcu – całej ludzkości), demokracja będzie miała znów coś do powiedzenia współczesnemu światu.

Jednakże mimo – a może właśnie z powodu – ścisłego „powinowactwa” między ludami imperialnymi, a więc „rodzinnego” charakteru życia Imperium, musi się wyłonić spośród zjednoczonych narodów taki, który będzie „starszy” od innych i pierwszy wśród równych. W Imperium słowiańsko-sowieckim tę rolę odgrywa lud rosyjski, a na czele faktycznej unii anglosaskiej staną zapewne Stany Zjednoczone, nawet jeśli jest jej przeznaczone rozszerzenie się o elementy germańskie. Co do przyszłego Imperium Łacińskiego, to oczywiście pierwsze miejsce powinna w nim zająć Francja. Wyznaczają jej to miejsce i zobowiązują do jego zajęcia racje polityczne, gospodarcze i kulturalne. Zwłaszcza w porównaniu z Hiszpanią już sam tylko czynnik demograficzny zapewnia jej pierwszeństwo. W wypadku zaś Włoch, w stosunku do których czynnik demograficzny nie działa na korzyść Francji, równowagę odpowiadającą jej właściwemu ciężarowi politycznemu i kulturalnemu przywróci francuski przemysł (umiejscowiony w pobliżu rudy żelaza i boksytu, oraz węgla z Zagłębia Saary, Belgii i Niemiec).

2.

Niewątpliwe powinowactwo duchowe ludów łacińskich umożliwia wprawdzie utworzenie Imperium, ale na pewno samo w sobie nie gwarantuje mu realnego bytu.

Żeby móc stawiać czoło dwóm już ukonstytuowanym formacjom imperialnym, nie wystarczy, by Francja wspominała od czasu do czasu o istnieniu „łacińskich sióstr”; nie wystarczy, by Latynowie zawarli między sobą bardziej czy mniej bałkańskie „pakty”, ani by tworzyli sojusze w stylu małych czy innych „entent”². Idzie o utworzenie rzeczywistej i skutecznej jednostki politycznej, która będzie nie mniej

zjednoczona, rzeczywista i sprawna niż brytyjski Commonwealth of Nations czy Związek Republik Radzieckich.

To, że należy osiągnąć poziom jedności i sprawności tych dwóch formacji imperialnych, nie oznacza wcale, że trzeba niewolniczo naśladować strukturę polityczną którejs z nich. Przeciwnie, wszystko wskazuje, że Latynowie powinni, i potrafią, znaleźć nieznaną dotąd formułę imperialną. Idzie bowiem w ich wypadku o zjednoczenie narodów zamożnych, od dawna niepodległych. Jeszcze mniej konieczne jest kopiowanie organizacji społecznej i gospodarczej obu rywalizujących Imperiów. Nic bowiem nie dowodzi, że ceniony w bloku anglosaskim liberalizm oparty na wielkich autonomicznych trustach i masowym bezrobociu, oraz wszystko zrównujący i nieco barbarzyński etatyzm Związku Radzieckiego wyczerpują wszystkie możliwości racjonalnej organizacji gospodarczej i społecznej. Jest zwłaszcza całkiem oczywiste, że sowiecka struktura imperialna nie ma nic wspólnego z komunizmem i da się łatwo od niego oddzielić.

Najistotniejsze jest to, by unia łacińska była prawdziwym Imperium, czyli rzeczywistą całością polityczną. Otóż wszystko wskazuje, że może nią być tylko pod warunkiem, że utworzy prawdziwą jedność gospodarczą.

Wydaje się, że po to, by ludy łacińskie mogły utworzyć taką jedność, Francja, Włochy i Hiszpania muszą zacząć od połączenia zasobów swoich posiadłości kolonialnych. Inaczej mówiąc – obywatele wszystkich trzech krajów powinni mieć jednakowe możliwości pracy w tych koloniach i na ich rzecz (Francja powinna poza tym zrobić wszystko, co w jej mocy, by skłonić aliantów do zwrócenia Włochom bądź Imperium Łacińskiemu włoskich kolonii w Afryce Północnej). Całe Imperium jako takie powinno ustalić jednolity plan wykorzystania kolonii i dostarczyć środki niezbędne do jego realizacji. I także Imperium jako całość powinno czerpać z efektów tego wspólnego wysiłku planującej myśli i zorganizowanej pracy. W sumie – realną podstawą i jednoczącą zasadą Imperium Łacińskiego powinna stać się jedność gospodarcza zwartego bloku posiadłości afrykańskich.

Może się poza tym okazać, że właśnie w tym zjednoczonym świecie łacińsko-afrykańskim uda się kiedyś rozwiązać problem muzułmański (a może problem kolonialny w ogóle). Bo od czasu wypraw krzyżowych arabski islam i łaciński katolicyzm łączy opozycja z wielu punktów widzenia syntetyzująca (wpływ myśli arabskiej na scholastykę, przenikanie sztuki islamskiej do krajów łacińskich itd.). I nie ma żadnego powodu, by w obrębie prawdziwego Imperium ta synteza przeciwieństw

nie mogła się uwolnić od swych wewnętrznych sprzeczności, które są naprawdę nieprzezwyciężalne tylko w związku z interesami czysto narodowymi. Otóż porozumienie między światem łacińskim i islamskim sprawiłoby, że obecność innych sił imperialnych w Basenie Śródziemnomorskim stałaby się bardzo niepewna.

Oczywiście kolonialną jedność gospodarczą musi uzupełnić metropolitalna unia ekonomiczna. Prywatne lub międzypaństwowe porozumienia powinny oddać do dyspozycji Imperium całość zasobów geologicznych i rolniczych, jakie zawiera ziemia krajów Imperium. Takie same porozumienia powinny również zapewnić racjonalny podział między uczestników Imperium zadań, jakie narzucają bezpieczeństwo polityczne czy militarne oraz potrzeby ekonomiczne i socjalne Imperium jako całości. Wreszcie uzgodniona doktryna handlu zagranicznego, w razie potrzeby wsparta wspólną polityką celną, powinna zapewnić Imperium: po stronie eksportu – możliwość konkutowania na rynku światowym, po stronie importu zaś – zdolność przeciwstawienia, gdyby okazało się to potrzebne, monopolu zakupów ewentualnym monopolom sprzedaży.

Nie należy sądzić, że pod względem ekonomicznym wszystkie koszty utworzenia projektowanego Imperium poniesie Francja, a Włochy i Hiszpania zadowolą się ciągnięciem z niego korzyści. Nawet pomijając hiszpańskie zasoby mineralne, można powiedzieć, że te dwa kraje będą uczestniczyły w gospodarce imperialnej siły roboczej, jaką oddadzą do dyspozycji Imperium (a więc i Francji). A nie trzeba zapominać, że praca, czyli siła robocza, a więc i liczba ludności w ogóle – są najbardziej autentyczną postacią bogactwa narodowego.

Wszyscy stwierdzają zgodnie, że obecna ludność Francji nie jest dość liczna, by utrzymać czy podnieść jej gospodarkę na poziom gospodarki wielkiego, nowoczesnego mocarstwa. Otóż utopią byłoby liczyć na jej masowy przyrost. Mądra i skuteczna polityka demograficzna zawsze co prawda pozostanie dla Francji żywotną koniecznością, ale zdoła ona co najwyżej utrzymać liczbę czysto francuskiej ludności na jej dotychczasowym poziomie. Co do imigracji, to już teraz obserwuje się wysychanie wschodnioeuropejskich źródeł potrzebnej temu krajowi siły roboczej, toteż tak czy inaczej będzie on musiał zwrócić się w kierunku swych łacińskich sąsiadów. Jest jednak zupełnie oczywiste, że pod względem liczby rąk do pracy Francja będzie się borykała z największymi trudnościami tak długo, jak długo będzie czysto i wyłącznie narodowa. Podobnie, chociaż z diametralnie odmiennych powodów, izolujący i wyłączny nacjonalizm (politycznie zresztą nierealny i

praktycznie już obecnie nieistniejący) nie przynosi korzyści dwóm pozostałym krajom łacińskim. Rzecz w tym, że gospodarki Włoch i Hiszpanii, ograniczone do swych zasobów krajowych, najwyraźniej nie wystarczą ani do zapewnienia ich ludności poziomemu życiu choćby w miarę odpowiedniego dla współczesnego Europejczyka, ani do wchłonięcia dorocznego przyrostu demograficznego, który aż dotąd w tych krajach występował.

Imperium Łacińskie natomiast, liczące 110 do 120 milionów obywateli (zresztą autentycznie bliskich sobie pod względem mentalności i wyglądu zewnętrznego), byłoby z całą pewnością zdolne stworzyć i utrzymać gospodarkę na wielką skalę, skromniejszą wprawdzie, ale co najmniej porównywalną z gospodarką anglosaską i słowiańsko-sowiecką. Ta gospodarka z kolei pozwoliłaby podnieść w przyszłości poziom życia w całym Imperium, czyli przede wszystkim w Hiszpanii i we Włoszech Południowych. Poprawienie materialnych warunków bytu w tych regionach przyniosłoby z całą pewnością gwałtowny wzrost krzywej demograficznej w ciągu najbliższych dekad. I to ciągle (a w zasadzie nieograniczone) poszerzanie się rynku wewnętrznego, sprzężone z coraz większą podażą zatrudnienia, pozwoliłoby gospodarce Imperium rozwijać się, unikając zarówno nieuchronnych cyklicznych kryzysów gospodarki anglosaskiej, której rynek wewnętrzny jest praktycznie nasycony, jak też sztywnej i ciemnościelskiej stabilności gospodarki sowieckiej.

Można się zatem spodziewać, że Francja bardzo niedługo sama skorzysta na rzekomych „ofiarach”, które poniesie na rzecz Imperium Łacińskiego. Bo jej obszary metropolitalne i kolonialne, włączone w jedno imperialną i nawet eksploatowane wspólnie z innymi, przyniosą jej niewątpliwie o wiele więcej, niż mogłaby przynieść ich eksploatacja wyłączna i ściśle „narodowa”, regulowana przez zasady ekonomiczne zwane „egoistycznymi”, a w rzeczywistości po prostu przestarzałe.

3.

Unia ekonomiczna jest warunkiem *sine qua non* łacińskiej jedności imperialnej. Nie jest wszelako racją bytu Imperium Łacińskiego. Ostateczny i prawdziwy cel związku imperialnego jest z gruntu polityczny, toteż zrodzić go i inspirować powinna ideologia wyraziście polityczna.

Otóż fundamentalną kategorią polityczną jest kategoria niepodległości bądź autonomii. Mówi się na ogół, że wola polityczna jest wolą potęgi lub „wielkości”. Na pewno. Ale trafniej i ściślej byłoby powiedzieć, że każda wola prawdziwie polityczna

jest przede wszystkim wolą autonomiczną i wolą autonomii. „Potęga” bowiem jest tylko środkiem urzeczywistnienia autonomii, a wielkość jest prostym następstwem jej urzeczywistnienia. Państwo pojmowane jako polityczna całość materializuje tylko wolę autonomii, poprzez nią powstaje i utrzymuje się, bo poprzez nią skupia i opanowuje dążenia poszczególnych obywateli, skądinąd niezharmonizowane, wydobywając z nich „wolę ogółu”, ta zaś to nic innego jak jego – państwa – wola autonomii, która w ten sposób staje się wyrazista i skuteczna. I przeciwnie, państwo niekierujące się wolą absolutnej autonomii stacza się do poziomu zwykłej administracji, mającej za zadanie możliwie najlepiej obsługiwać interesy prywatne, których skądinąd nie potrafi pogodzić.

A zatem stworzyć Imperium Łacińskie zdolne do istnienia jako całość polityczna – to stworzyć i utrzymać łacińską „wolę ogółu”, autonomiczną w swych dążeniach i domagającą się dla siebie maksimum autonomii, dającej się pogodzić z aktualną ogólną sytuacją polityczną. Inaczej mówiąc – działania tego Imperium powinny wynikać w ostatecznym rachunku z woli jedności składających się na nie ludów i być niezależne, w miarę możliwości i rozsądku, od woli lub działania państw obcych. W praktyce oznacza to, że decyzje podejmowane przez Imperium i dotyczące tak jego struktury i działania na arenie wewnętrznej, jak jego stosunków z zagranicą nie powinny być podejmowane wyłącznie w zależności od pragnień i działań dwóch już istniejących i rywalizujących ze sobą Imperiów.

Gdyby każdy z tych trzech krajów łacińskich chciał się w swoim działaniu zbiorowym, czyli państwowym lub politycznym, kierować wolą autonomii łacińskiej – oświeconą przez rozum, a więc „realistyczną”, czyli skuteczną – integrująca jedność ich troistej działalności wynikłaby z tego automatycznie. Jeśli jednak jedność zewnętrznego działania politycznego jest bezpośrednim następstwem istnienia woli autonomii, to jest ona również konieczną przesłanką skutecznej realności autonomicznej woli. Imperium może więc istnieć tylko pod warunkiem ustalenia jednej, przez wszystkich uczestników akceptowanej zasady rządzącej polityką zewnętrzną, i to pod względem zarówno kierunku ogólnego, jak i praktycznego wykonawstwa.

Jak każda wola w ogóle, polityczna wola autonomii, realizując się, będzie nieuchronnie napotykać i przewyżczać opory. Musi więc być przeciwko nim uzbrojona i w tym celu skonkretyzować się – między innymi – w postaci wojsk – lądowych, morskich i powietrznych. Nie dlatego, by wola autonomii musiała być

koniecznie militarystyczna albo wojownicza, ani by wola imperialna była zawsze imperialistyczna. Przeciwnie, militarizm i imperializm są zwyrodnieniami woli autonomii wspartej na wątych fundamentach i nie dysponującej prawdziwie potężnymi środkami wykonawczymi (dlatego militarizm rodzi się z niebezpieczeństwa, a zwłaszcza z klęski, czyli ze słabości, potencjalnej tylko lub już aktualnej). Są to zjawiska cechujące zwłaszcza narodowe byty polityczne, ponieważ naród jest zawsze kruchą podstawą kierującej nim woli autonomii. Podstawa imperialna nadaje takiej woli większą sprawność i lepiej ją zabezpiecza, przez co czyni ją z gruntu pokojową, jeśli nie pacyfistyczną. Bo o ile w obronie autonomii zagrożonej, a więc chwiejnej, trzeba prowadzić wojnę, to tylko w pokoju i poprzez pokój autonomia umacnia się, realizuje i rozkwita. Jednakże dopóki w świecie będzie więcej niż jedno Imperium, każde z nich zachowa resztki słabości narodowej czy też nacjonalistycznej, a więc także wrażliwości imperialistycznej i wojowniczej. Dlatego Imperium Łacińskie będzie potrzebowało wojska, wojska wystarczająco potężnego, by móc mu zapewnić autonomię w pokoju i pokój w autonomii, a nie w uzależnieniu od jednego z rywalizujących Imperiów. Oczywiście ta imperialna armia musi być jedna i jednolita, i pod każdym względem zaopatrywana przez całe Imperium. Zresztą we współczesnych warunkach tylko Imperium jest w stanie udźwignąć ciężar sprawnej armii; ciężar, który by zmiażdżył gospodarkę każdego narodu z osobna. Imperialny potencjał militarny natomiast pozwoliłby nawet ograniczyć do absolutnego minimum, przynajmniej przez pewien czas, efektywne zbrojenia, zawsze zbyt kosztowne i przedwcześnie się starzejące. Jest jednak również oczywiste, że Francji przypadnie w udziale odegranie absolutnie pierwszoplanowej roli w wysiłku militarnym Imperium. Na tym polu zresztą, może bardziej niż na innym, będzie ona mogła dzięki swym odwiecznym cnotom wojskowym i swemu wielkiemu doświadczeniu stawić bez obaw czoło współdziałającej konkurencji Hiszpanów i Włochów. A zaszczepiając wojsku łacińskiemu charakter wyraziście francuski, Francja zapewni sobie siłą rzeczy ogólną, zasłużoną i uzasadnioną przewagę w obrębie Imperium utrzymującego to wojsko.

Zadaniem kierowanego przez Francję wojska imperialnego będzie nadać skuteczność „powszechnej woli” autonomii łacińskiej przez zapewnienie wewnątrz i na zewnątrz efektywnej jedności Imperium Łacińskiego. Może to jednak zrobić tylko, opierając się na tej jedności. Otóż osią jedności imperialnej jest jedność zasobów kolonialnych, którą zapewnia wspólne z nich korzystanie. Utrzymanie jedności i

zwartości domeny kolonialnej jest zatem pierwszym zadaniem dyplomatycznej i militarnej polityki Imperium Łacińskiego. Oznacza to, że nie wystarczy wspólne korzystanie z tej domeny. Trzeba też, by tworzyła ona jeden blok i była stale dostępna w całości. Bezpośrednia łączność między imperialną metropolią i jej koloniami powinna być zapewniona w każdych okolicznościach, a zwłaszcza na wypadek wojny. Otóż jest oczywiste, że oceany leżą poza zasięgiem Imperium łacińskiego (nie mówiąc o działającej samodzielnie Francji, która nie byłaby w stanie zabezpieczyć nawet swych linii komunikacyjnych na Morzu Śródziemnym). Nie znaczy to oczywiście, że Francja ma zrezygnować ze swoich posiadłości oceanicznych, takich jak Indochiny, Madagaskar, Antyle itd. Byłoby jednak czczym i niebezpiecznym zamierzeniem budowanie floty zdolnej kontrolować prowadzące do nich szlaki. Toteż rezygnując z tego, należy od początku budować i nakierowywać imperialną gospodarkę i politykę (dyplomatyczną i wojskową), biorąc pod uwagę fakt, że te odległe posiadłości mogą kiedyś czasowo lub nawet definitywnie odpaść od metropolii.

Sprawą żywotnej wagi jest natomiast zapewnienie metropolii swobodnego dostępu do kolonii afrykańskich. Oznacza to, że pozostawiając oceany na łasce rywalizacji dwóch innych Imperiów, Imperium łacińskie powinno zapewnić sobie wyłączność na Morzu Śródziemnym. Związane z tym morzem problemy strategiczne są niewątpliwie w zasięgu możliwości militarnych Imperium łacińskiego, które mając w swym posiadaniu Bizertę³ i Sycylię oraz *hinterland* i południowe wybrzeże Gibraltaru, będzie mogło kontrolować komunikację nawet przy użyciu bardzo skromnej floty morskiej i powietrznej. Dlatego idea Morza Śródziemnego jako *mare nostrum* może i powinna stać się głównym, jeśli nie jedynym celem polityki zagranicznej zjednoczonych Latynów. I nie ma znaczenia, że ta dewiza była przedtem wypisana na sztandarach faszystowskich, istotnie mało szacownych. Groteskowa była nie idea, lecz śmieszna ambicja jej urzeczywistnienia siłami osamotnionego i wyłącznego narodu.

Imperium Łacińskie natomiast mogłoby niewątpliwie przywrócić całą powagę tej starej rzymskiej formule. Oczywiście pod warunkiem, że uczyni z niej wiodącą ideę całej imperialnej polityki i poświęci jej wszystkie siły.

Nie idzie oczywiście o to, by odmawiać komukolwiek dostępu do Morza Śródziemnego. Rzecz wyłącznie w tym, by mieć materialną możliwość uczynienia tego. Albo – mówiąc innymi słowy – mieć prawo i możliwość zażądania

rekompensaty od tych, którzy chcieliby się swobodnie poruszać po tym morzu, bądź też odmówienia tego prawa niektórym, przy czym tak o dostępie, jak i o wykluczeniu decydowałoby wyłącznie Imperium Łacińskie, działając za pomocą środków będących w jego wyłącznej dyspozycji.

Mówiąc ogólnie, Imperium Łacińskie nie powstaje po to, by atakować lub osłabiać innych. Nie powstaje nawet z myślą o uczestnictwie w przyszłej wojnie. Przeciwnie, jego ostatecznym celem jest zapewnienie pokoju swym uczestnikom, a więc całej Europie Zachodniej. Zbyt słabe, by zaatakować – może być wystarczająco silne, żeby narzucić swoją neutralność i w ten sposób ustrzec od zniszczenia wybrzeża Morza Śródziemnego i cały Zachód, łaciński lub nie. Gdyby więc Francja dała początek Imperium po to, by utrzymać w przyszłości autonomię i wielkość, których jej czysto narodowa terażniejszość nie potrafi udźwignąć – zrobiłaby to także jako pierwsze mocarstwo europejskie, odpowiedzialne za zachowanie cywilizacji, w dużej mierze przez nią stworzonej. Można więc powiedzieć, że ostatecznym celem łacińskiej polityki imperialnej jest utrzymanie pokoju na europejskim Zachodzie.

Oczywiście nie można przeceniać politycznych możliwości Imperium Łacińskiego. Nie będzie ono nigdy dość mocne, by zapewnić sobie autonomię absolutną. Nie będzie bowiem dość potężne, by zneutralizować rywalizację dwóch pozostałych imperiów i zapobiec w razie potrzeby ich konfliktowi zbrojnemu. Być może zatem Latynowie będą kiedyś musieli uzgadniać swoją politykę z polityką jednego z dwóch rywali, przeciwstawiając się politycznie drugiemu.

Ale nawet przyjmując taką hipotezę, Francja jest zainteresowana utworzeniem Imperium Łacińskiego. Jeśli bowiem sama stanie na czele Imperium, jej waga polityczna i gospodarcza będzie o wiele większa, niż gdyby się przyłączyła do jakiejś obcej formacji imperialnej jako odrębny naród. Podobnie jak Anglia, chroniąc się za plecami Ameryki, próbuje otoczyć się „narodowymi” satelitami (wśród których tak bardzo chciałaby widzieć Francję), Francja nie powinna próbować samotnie korzystać z ryzykownych korzyści „ententy” z prawdziwie wielkim mocarstwem. Tym bardziej że o ile Anglia musi się zadowalać „klientami”, o tyle Francja mogłaby mieć współników-partnerów.

Zwłaszcza (można powiedzieć – *last but not least*) utworzenie wokół Francji Imperium Łacińskiego uczyniłoby strategicznie bezużytecznymi pozycje ewentualnej germańskiej marchii Imperium anglosaskiego. W tych warunkach nikt nie byłby więc zainteresowany przywróceniem ekonomicznego i militarnego potencjału Niemiec, co

mogłoby się dokonać tylko kosztem ich zachodnich sąsiadów. Gdyby jednak Francja pozostała osamotniona, czy nawet sprzymierzona z Anglią, jest więcej niż prawdopodobne, że konsekwencją (jeśli nie bezpośrednią, to przecież stosunkowo niezbyt odległą) decyzji obrony Zachodu przed Rosjanami byłoby odwołanie się do zjednoczonej w większym czy mniejszym stopniu potęgi świata germańskiego. Otóż o ile niebezpieczeństwo Niemiec wrogich wydaje się na zawsze zażegnane, to zagrożenia gospodarcze ze strony Niemiec „sojusznicznych”, z którymi Francja miałaby do czynienia w ramach zależnego od Imperium anglosaskiego „bloku zachodniego”, nie są bynajmniej urojone, a za to niewątpliwie dla niej śmiertelne, również na płaszczyźnie politycznej. Tylko Imperium łacińskie mogłoby trwale przeciwstawić się sprawowanej bez anglosaskiej kontroli hegemonii Niemiec na kontynencie. Zarówno ze względu na „środki perswazji”, którymi owo Imperium będzie dysponowało, jak też dlatego, że jest samo zdolne samodzielnie zapewnić te gwarancje europejskiej siły i stabilności, których w innym wypadku miałyby się ochotę poszukiwać za Renem.

IV. ŚRODKI REALIZACJI

1.

Aby móc działać poza własnymi granicami, Imperium Łacińskie musi z jednej strony pokonać zewnętrzne przeszkody, z drugiej zaś zapewnić sobie poparcie.

Jest rzeczą jasną, że Imperium Łacińskie od najwcześniejszych etapów będzie miało do czynienia z systematycznym i, trzeba to podkreślić, skutecznym oporem ze strony Anglii. W każdym razie jak dotąd wszystkie, skromne zresztą, kroki na rzecz wzajemnego zbliżenia ludów łacińskich wywoływały wrogie i mniej lub bardziej agresywne reakcje Brytyjczyków. Według Anglików istnieje tylko jeden dobry argument na rzecz takiej unii: otóż istnienie wystarczająco potężnego Imperium Łacińskiego likwiduje potrzebę dozbierania Niemiec oraz inwestowania w odbudowę ich dobrobytu, co zawsze stanowiłoby zagrożenie dla gospodarki brytyjskiej. Ponieważ dla Londynu silne i zażywające dobrobytu Niemcy zawsze były wyłącznie ostatnią deską ratunku i niczym więcej, taki argument na pewno nie byłby bez znaczenia. Jednakże nie ma co ukrywać, że z punktu widzenia Anglików kłopoty związane z istnieniem Imperium Łacińskiego z całą pewnością przewyższają korzyść, jaką jest trwała eliminacja Niemiec z rywalizacji politycznej i gospodarczej. W

najlepszym razie można liczyć na angielskie media liberalne, a zwłaszcza laburzystowskie, z ich upodobaniem do motywów demokratycznych (prawo narodów do samostanowienia, próba utworzenia międzynarodowej organizacji demokratycznej) i pacyfistycznych (neutralny pośrednik w konflikcie między Rosjanami i Anglosasami); być może sprawna propaganda z ich strony nieco złagodzi zaciekłość angielskiego oporu. Trzeba również podkreślić, że bezpośrednia, otwarta interwencja przeciwko próbom utworzenia Imperium Łacińskiego (które stanowczo lepiej będzie nazwać „unią”, „układem” lub „porozumieniem”) byłaby trudna do uzasadnienia w sposób przekonujący i godziwy – nie tylko wobec światowej, ale nawet angielskiej opinii publicznej. Wszelkie bowiem argumenty wysuwane przez Anglię na rzecz „bloku zachodniego” dają się *mutatis mutandis* zastosować również do Imperium Łacińskiego. Ponieważ jednak jeszcze żaden przeciwnik oficjalnej argumentacji Anglików nie zdołał ich skłonić do jej zmiany, wspomnianych trudności nie należy lekceważyć.

Jeżeli sprzeciw Anglii wobec Imperium Łacińskiego uzyska bezwarunkowe poparcie ze strony USA – wówczas osłabiona politycznie i gospodarczo Francja, dokładająca wielkich starań, by powołać owo Imperium do życia, znajdzie się oczywiście w nader delikatnej sytuacji. Można jednak przypuszczać, że angielski i amerykański punkt widzenia nie będą w pełni zbieżne, jeżeli idzie o „kwestię łacińską”. Z jednej strony USA z pewnością zdają sobie sprawę, że powstanie Imperium Łacińskiego nie oznacza dla nich rzeczywistego zagrożenia – wojskowego, politycznego, czy nawet gospodarczego. Ostatecznie bowiem wszystko sprowadza się do pytania o to, czy cały świat zachodni musi znaleźć się w angielskiej strefie wpływów gospodarczych, a tym samym również politycznych, czy też ów wpływ powinien być ograniczany przez gospodarczo i politycznie niezależne Imperium Łacińskie. Otóż wydaje się co najmniej prawdopodobne, że Amerykanie bez większego żalu zgodzą się na pewien spadek znaczenia roli Anglii w ramach bloku angloamerykańskiego. Być może też wcale nie będzie im przeszkadzać dominacja łacińska w regionie Morza Śródziemnego, równoważąca wpływy Anglii, która w innym wypadku zdobyłaby całkowitą i wyłączną kontrolę nad bliskowschodnimi źródłami ropy naftowej. Z drugiej strony Imperium Łacińskie, zupełnie nieskore i niezdolne do tego, by konkurować z USA w dziedzinie ekonomii, mogłoby im zaproponować korzystny układ, polegający na zorientowaniu własnego handlu zagranicznego na Amerykę i osłabieniu stosunków handlowych z tymi krajami, które

wydają się nadmiernie sprzyjać „sojuszowi funta szterlinga”. Z pewnością jednak jest rzeczą jasną, że 120-milionowy rynek, jaki będą stanowić trzy zjednoczone kraje łacińskie, będzie miał dla Amerykanów znacznie większe znaczenie, niż gdyby te same kraje zachowały odrębność, skazując się tym samym mniej lub bardziej na dominację gospodarczą ze strony Anglii. Nie należy wreszcie zapominać, że amerykańska opinia publiczna zawsze opowiadała się za zniesieniem barier w stosunkach gospodarczych z Europą. Zwolennicy Imperium Łacińskiego będą więc mogli łatwo uprawiać w USA skuteczną propagandę we własnej sprawie, podkreślając element wolnego handlu – przynajmniej na obszarze wewnątrzłacińskim. Ogólnie rzecz biorąc, skoro Francja i Imperium Łacińskie skazane są na sojusz gospodarczy z kimś potężniejszym, to z pewnością należy wybrać najbogatszego i najmniej wymagającego. Otóż nie ulega wątpliwości, że pod względem ekonomicznym USA daleko wyprzedzają resztę świata. Dlatego nawet z czysto francuskiego punktu widzenia proamerykańska orientacja gospodarcza jest dla krajów łacińskich bardziej korzystna niż związek z gospodarką angielską, na który izolowana Francja byłaby zapewne nieuchronnie skazana.

Ze strony ZSRR Imperium Łacińskie mogłoby oczekiwać jeszcze większej życzliwości niż ze strony Stanów Zjednoczonych. Oczywiście władza radziecka zawsze była wrogo nastawiona do wszelkich międzynarodowych „bloków” – małych, średnich czy dużych. Walka z takimi blokami stanowi wręcz tradycyjny *leitmotiv* radzieckiej polityki zagranicznej. Zapewne jednak da się przekonać Moskwę, że Europa podzielona, by nie rzec „nacjonalistyczna”, prędzej czy później zostanie w całości zdominowana przez Anglię, toteż tak czy inaczej weźmie czynny udział w następnej wojnie; natomiast Imperium Łacińskie mogłoby zachować w takim konflikcie neutralność i tym samym w jakimś stopniu zabezpieczać zachodnią flankę ZSRR. Oczywiście kraje łacińskie ze swoją neutralnością nie wpłyną decydująco na wynik wojny, wzmacniając już dość mocno osłabioną pozycję Sowietów. Wszyscy się jednak zgodzą, że właśnie dzięki ich neutralności zwycięstwo – komukolwiek miałyby przypaść – dałoby się osiągnąć niewielkim kosztem. Krótko mówiąc, ZSRR nic by nie tracił na powstaniu zjednoczonego mocarstwa łacińskiego, a może by nawet coś zyskał. W tych warunkach, dzięki wytrwałym i cierpliwym inicjatywom dyplomatycznym, powstające Imperium Łacińskie mogłoby oczekiwać od ZSRR nie tylko życzliwej neutralności, ale nawet realnego wsparcia ekonomicznego i politycznego – zwłaszcza gdyby jego powstanie spotkało się ze wspólnym oporem

Anglii i Stanów Zjednoczonych. Nawet w tak niesprzyjającym układzie ludy łacińskie nie musiałyby wyrzekać się swych dążeń mocarstwowych, gdyby ZSRR był gotów zaopatrzyć je w niezbędne surowce i urządzenia przemysłowe. Tak czy inaczej, doświadczenie ostatnich lat wskazuje, że trzeba problemów w regionie śródziemnomorskim, by zarówno we Francji, jak i w Rosji pojawiła się spontanicznie jakaś nieśmiała chęć współpracy.

W każdym razie współpraca ta okazała się niemożliwa przy okazji problemu niemieckiego. Problem ten zresztą ma charakter raczej gospodarczy niż polityczny i będzie omówiony w części 3. niniejszego rozdziału, poświęconym gospodarce, w związku z kwestią węgla.

Do rozpatrzenia pozostaje więc już tylko zagadnienie stosunków między Francją a jej dwoma łacińskimi partnerami *in spe*.

Jeżeli idzie o Hiszpanię, z jednej strony wiadomo, że mgliste (a w dodatku już porzucone) aspiracje łacińskie Franco skazane są na porażkę, a z drugiej – że Imperium Łacińskie nie ma szans zaistnieć, dopóki *el Caudillo* i jego rząd nie zostaną wyeliminowani⁴. Dziś bowiem nie ma już wątpliwości, że ten „nacjonalistyczny” polityk, pragnąc zachować władzę, a przynajmniej uchronić reprezentowany przez siebie ustrój, dąży do uczynienia z Hiszpanii brytyjskiego dominium. Należałoby więc zastąpić Franco rządem frankofilskim, to jest takim, który będzie sprzyjał utworzeniu Imperium Łacińskiego pod egidą Francji. Otóż nie roztrząsając straconych okazji, można stwierdzić, że nawet dziś nie jest to koncepcja do końca przegrana. Z jednej strony idea francusko-łacińska zyskałaby ogromne poparcie w pewnych kręgach hiszpańskiego społeczeństwa, wrogo usposobionych wobec Falangi⁵. Z drugiej – USA popierają Franco nader wstrzemięźliwie, natomiast ZSRR robią wszystko, by go obalić. Niewątpliwie wspiera go Anglia, ale trudno uzasadnić tę postawę wobec światowej, a także angielskiej opinii publicznej – zwłaszcza odkąd do władzy doszła Partia Pracy. Wspólne działanie przeciw Franco byłoby więc do pomyślenia, a Francja mogłaby już dziś podjąć taką inicjatywę, która cieszyłaby się zrozumieniem ZSRR i USA, i pozwoliłaby jej zgromadzić wokół siebie kraje Ameryki Łacińskiej, a być może również Włochy. Falangistowskiej Hiszpanii trzeba jednak przeciwstawić coś więcej niż czysto negatywne hasło „antyfasyzmu”. Jeżeli chodzi o pozostałe ludy łacińskie (a być może także o Rosjan) – należy odwołać się do tej samej idei Związku Łacińskiego, którą Franco zawsze sam głosił, i którą właśnie zdradza na rzecz Anglosasów, a zwłaszcza Anglików⁶. Obalenie go nie

miałoby wiele sensu, gdyby w rezultacie Hiszpania miała pogрузić się w wewnętrznej anarchii. Pomysł budowania trwałego imperium z Hiszpanią anarchistyczną i siejącą zamęt byłby mrzonką, podobnie jak trudno by sobie wyobrazić, że elity polityczne i ekonomiczne Francji miałyby się pogodzić z „czerwoną” Republiką Hiszpańską. Trzeba by znaleźć – w samej Hiszpanii, a także wśród hiszpańskich środowisk emigracyjnych – jakąś inną podstawę, bardziej zdyscyplinowaną i mniej „rewolucyjną”, która byłaby do przyjęcia dla hiszpańskich elit, gdy te odwrócą się od Franco. Nie wydaje się jednak, by taki fundament mógł powstać bez uprzedniej zgody hiszpańskiego Kościoła, a tym samym i Watykanu. To z pewnością nie będzie proste. Ale nie należy z góry zakładać, że idea Imperium Łacińskiego pewnego dnia nie zdobędzie serc polityków z rzymskiej kurii – oczywiście pod warunkiem, że owo Imperium zgodzi się zabezpieczać stan papieskich finansów (por. część 4.).

We Włoszech, podobnie jak w Hiszpanii, sytuacja naprawdę korzystna dla Francji i sprzyjająca Imperium Łacińskiemu należy już w znacznej mierze do przeszłości. W ciągu ostatnich miesięcy Anglia wyraźnie umocniła tam swoje wpływy gospodarcze i polityczne, do czego zresztą bardzo przyczyniły się błędy polityczne Francji. Mimo to idea Imperium Łacińskiego pod francuskim przywództwem zawsze cieszy się po tamtej stronie Alp dużą popularnością i wciąż ma tam status realnej koncepcji, za którą opowiadają się włoskie elity polityczne i ekonomiczne. Ogólnie rzecz biorąc, Włochy pomalą dryfują w stronę Anglii, równocześnie czekając – jak dotąd na próżno – na jakąś ofertę ze strony Francji: propozycję układu gospodarczego, politycznego sojuszu, czy nawet połączenie obu łacińskich krajów. Jednak również i tu trudno sobie wyobrazić jakiś głęboki i trwały związek bez uprzedniej zgody Watykanu.

Można by także wziąć pod uwagę Portugalię, ale kraj ten już od tak dawna znajduje się w sferze ekonomicznych i politycznych wpływów Anglii, że nie mógłby od razu stać się częścią Imperium Łacińskiego. Gdyby jednak Imperium rzeczywiście powstało, Portugalia – nawet „salazarystowska” – z całą pewnością prędzej czy później dołączyłaby do niego.

Wreszcie w jeszcze dalszej perspektywie, należy wspomnieć o Ameryce Łacińskiej. Oczywiście nie może być mowy o tym, by te odległe kraje miały przyłączyć się do Imperium. Nie ma jednak wątpliwości, że Imperium miałoby wobec tych krajów znacznie większą siłę kulturowego przyciągania niż Francja, Włochy i

Hiszpania z osobna. Ta zwiększona siła przyciągania mogłaby się przełożyć na wzrost importu z łacińskiej Europy.

2.

Co się tyczy Imperium Łacińskiego, to kluczowa jest nie pozycja zagranicy, lecz Francji. Tylko Francja może zapoczątkować budowę tego Imperium, podobnie jak tylko przyjęcie łacińskiej idei imperialnej może pozwolić Francuzom wydobyć się z politycznego (i gospodarczego) impasu, w którym się znaleźli. Z pewnością będzie jednak bardzo trudno przekształcić tę ogólną ideę w konkretny projekt i uczynić z niego cel i siłę napędową realistycznej polityki francuskiej.

Po pierwsze – z powodu bardzo rozpowszechnionego antyłacińskiego uprzedzenia, będącego zapewne po prostu utajoną postacią „kompleksu niższości”, niekiedy „dowartościowywanego”, na jaki Francja zaczyna cierpieć. Następnie ze względu na ów „kwietyzm” gospodarczy i polityczny, od kilku dziesięcioleci obserwowany w kraju i paraliżujący każdą chęć prawdziwego działania, czyli wszelką działalność nie-pogodzoną z tym, co zastane i dzięki temu twórczą lub odnowicielską. Otóż w wypadku Imperium Łacińskiego trzeba by było czegoś więcej jeszcze niż „odnowy”, idzie tu bowiem o zerwanie z całą „nacjonalistyczną” tradycją, która od wieków była tradycją wybitnie narodową, jako że Francja była „Wielkim Narodem” i to pierwszym prawdziwym narodem, który pojawił się na świecie. Wreszcie również wewnętrzna sytuacja polityczna zdaje się z góry przekreślać wszelkie próby skupienia całości działań francuskich wokół jednej wiodącej idei. Po pierwsze bowiem tradycyjna już i sztywna opozycja między lewicą i prawicą dzieli głęboko kraj, sprawiając, że jedna z tych partii odrzuca każdą ideę przyjmowaną przez drugą. (Wynikiem podjętej przez generała de Gaulle’a próby wzniesienia się ponad tę opozycję było zapewnienie mu położenia politycznego zaiste „niezrównanego”, ale też absolutnie i nieodwołalnie „izolowanego”). Po drugie – tym, co utrudnia wyłonienie „woli powszechnej” skupionej wokół nowej idei politycznej, jest istnienie formacji parapolitycznych, takich jak środowiska wywodzące się z ruchu oporu oraz katolickie, tym bardziej niepokojących, że są zarazem szerokie i amorficzne, oraz obecność wielkich, dobrze zorganizowanych partii, takich jak komunistyczna, radykalna, socjalistyczna, tym bardziej (jak dowodzi przykład radykałów) nieprzejednanych w obronie swego stanowiska, im mniej jest ono doktrynalne.

Mimo to, badając rzecz dokładniej, zauważamy, że obecna sytuacja sprzyja o wiele bardziej odrodzeniu politycznemu niż przedwojenna. Można nawet powiedzieć, że wielka akcja polityczna jest dziś tak trudna właśnie dlatego, że ma szanse powodzenia. W każdym razie trudności są rzeczą w pewnym sensie normalną, bo na pewno nie za pomocą łatwych środków uda się naprawić sytuację, w jakiej znajdujemy się obecnie.

Decydującym czynnikiem pozytywnym jest z całą pewnością obecność generała de Gaulle'a. Idea łacińska jest tylko konkretyzacją francuskiej woli autonomii politycznej i „wielkości”. Otóż wola ta wyraża się niewątpliwie w każdym słowie i każdym czynie obecnego szefa rządu. Niestety, przynajmniej jak dotąd wola polityczna tego przywódcy zmierza o wiele bardziej do galwanizowania przeszłości, pięknej zresztą i pełnej chwały, niż do budowania przyszłości, może niepewnej, lecz politycznie zdolnej do życia. W ostatecznym rachunku wysoce polityczna wola, uosobiona przez de Gaulle'a, służy anachronicznej utopii i sam ten fakt wystarczy, by wyjaśnić, czy wręcz uzasadnić rzucającą się w oczy niemożność przekształcenia tej subiektywnie tak mocnej woli osobistej w obiektywnie skuteczną „wolę ogólną”. W tych warunkach najlepsze rozwiązanie polegałoby na „nawróceniu” de Gaulle'a na ideę Imperium Łacińskiego; nawróceniu, które mogłoby wynikać tylko z całego szeregu dialogów prowadzonych poza zasięgiem szumu publicznego. Nie ma jednak żadnego dowodu, że rozmowy takie są obecnie możliwe, i nic nie świadczy, że rzeczywiście przyniosłyby one zamierzony skutek.

Nie należy zatem wiązać z losem generała de Gaulle'a działań, które należy podjąć z myślą o odrodzeniu politycznym Francji w związku z Imperium Łacińskim. Trzeba szukać dla nich szerszej i może trwalszej podstawy w wymiarze całego kraju, znaleźć taką podstawę, która zapewniłaby utrzymanie lub ewentualnie powrót generała de Gaulle'a do władzy, pozwalając mu ucieleśnić w swojej osobie już ukonstytuowaną polityczną „wolę ogólną”. Taka rozszerzona podstawa byłaby zresztą konieczna nawet wówczas, gdyby przekonany do idei Imperium de Gaulle miał od początku osobiście zająć się jego tworzeniem.

Francja dzisiejsza nie jest jednak monarchią absolutną. Obserwujemy w niej obecność wielu żywotnych i zorganizowanych partii, i to z nimi, a nie wbrew nim należy tworzyć realną podstawę akcji politycznej.

Mamy najpierw partię komunistyczną. Jest to partia ważna, bo środki ideologiczne i materialne, jakimi dysponuje, pozwalają jej skutecznie sabotować każde

przedsięwzięcie polityczne, które uznaje za konieczne zwalczać. W miarę możliwości nie należałoby więc prowokować otwartej opozycji z jej strony. Trzeba jednak uzyskać od niej coś więcej niż neutralność. Budowa Imperium Łacińskiego, a nawet zwykła „narodowa” naprawa Francji będą bowiem wymagały ze strony klasy robotniczej wielkiego, skoordynowanego i trwałego wysiłku, który tylko partia komunistyczna jest w stanie od niej uzyskać. Czy można jednak liczyć na pozytywną współpracę tej partii?

Biorąc za punkt wyjścia sedno rzeczy i odrzuciwszy pewne uprzedzenia, można, zdaje się, odpowiedzieć na to pytanie twierdząco.

W istocie partia komunistyczna – przynajmniej o tyle, o ile zasadnicze linie jej polityki są współokreślane przez Moskwę – robi obecnie wrażenie partii konserwatywnej, której dewizę mogłaby wyrażać wiszystowska formuła: „Praca – Rodzina – Ojczyzna”. Partia ta jest w gruncie rzeczy „konserwatywna”, bo chce utrzymać autonomię polityczną Francji (a także Włoch i Hiszpanii) i bronić jej przed dominacją świata anglosaskiego za wszelką cenę, nawet za cenę utrzymania w nieskończoność obecnego *status quo* ekonomicznego, socjalnego i politycznego. W tym sensie partia komunistyczna wypełnia opatrnościowo pewną lukę francuskiego życia politycznego, która poważnie naraża stabilność państwa i jego możliwości energicznego działania. Idzie o trwały brak we Francji partii nazywanej „konserwatywną”, która zarazem nie byłaby reakcyjna, a więc partii, która przyznawałaby z jednej strony absolutną wartość państwu jako takiemu, z drugiej zaś uznawałaby, że państwo może trwać politycznie tylko pod warunkiem dostosowywania się bez zastrzeżeń do ewolucji, która może być niekiedy radykalna, a często szybka. Otóż francuska partia komunistyczna, będąc siłą rzeczy „konserwatywna”, na pewno nie jest w swych intencjach „reakcyjna”, przeciwnie, jest otwarta na wszystkie propozycje zmierzające do „modernizacji” państwa. Jej niemal jedyny brak – ale jest to brak bardzo poważny – polega na tym, że przenikający ją „patriotyzm” nie jest nawet sowiecki, ale po prostu rosyjsko-słowiański. W tych warunkach partia nie będzie nigdy współpracować z projektem Imperium Łacińskiego, jeśli ten projekt nie uzyska przyzwolenia rządu radzieckiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że po uzyskaniu takiego przyzwolenia ogromna większość członków partii francuskiej będzie bardzo szczęśliwa, mogąc zastąpić swój „patriotyzm” rosyjski patriotyzmem łacińskim. Ogólnie biorąc, najlepsze elementy partii komunistycznej rekrutują się spośród tych, którzy chcieliby wykroczyć poza

rzeczywiście nazbyt ciasne ramy, jakie granice narodowe narzucają nowoczesnemu życiu gospodarczemu, społecznemu i politycznemu. I nie ma powodu sądzić, że wzbogacony o konkretną treść „imperialną” uniwersalizm komunistyczny nie mógłby być z pożytkiem wykorzystany w pracy konstruktywnej.

Trzeba jednak przyznać, że partia komunistyczna jest partią „konserwatywną” wielce *sui generis* i niełatwo sprawić, by odgrywała we Francji rolę, jaką na przykład w Anglii odgrywali torysi pod przewodnictwem Churchilla. Bo z jednej strony francuska partia komunistyczna – może z wyjątkiem niektórych jej przywódców – nie wie i nie chce wiedzieć, a tym bardziej przyznać, że jest partią „konserwatywną” czy też partią „prawicową”. Z drugiej zaś strony generał de Gaulle, a zwłaszcza aktualnie rządzące środowiska polityczne i gospodarcze są z pewnością „zakłopotane” na myśl o tym, że miałyby rządzić z decydującym poparciem partii komunistycznej. Otóż bez osoby i autorytetu de Gaulle’a partia ta nie mogłaby zapewne odgrywać takiej roli, zarazem konserwatywnej i konstruktywnej, jakiej się po niej oczekuje, a jej aktywność pozostałaby z pewnością jałowa bez porozumienia (które mogłoby pozostać milczące, pod warunkiem by było efektywne i skuteczne) z rzeczywistymi warstwami kierowniczymi kraju.

Żeby móc dokonać pożytecznego dzieła politycznego, trzeba zatem stworzyć we Francji jakiś łącznik między masami kierowanymi w większej czy mniejszej mierze przez partię komunistyczną, wolą polityczną reprezentowaną przez generała de Gaulle’a oraz rzeczywistymi siłami, jakimi dysponuje elita ekonomiczna, techniczna i kulturalna.

Otóż na szczęście taki element łączący istnieje obecnie, by tak rzec, *in potentia*, w postaci zjawiska – wprawdzie dość nieokreślonego politycznie, ale żywego i żywotnego – które określa się mianem ruchu oporu. Z jednej strony środowiska wywodzące się z ruchu oporu grupują najaktywniejsze elementy narodu, mają określone skłonności do głębokich reform i przeszły już przez doświadczenie, w sumie nie nazbyt dotkliwe, współpracy politycznej z komunistami. Poza tym są przeniknięte patriotyzmem autentycznie francuskim i mają powiązania osobiste i bezpośrednie zarówno z generałem de Gaulle’em, jak i z niektórymi francuskimi środowiskami kierowniczymi. Tyle że ten ruch, powołany do stawiania oporu, a więc zrodzony z czystej i prostej negacji, nie posiada jeszcze pozytywnej idei wiodącej i w konsekwencji brakuje mu jedności, czy też prawdziwej osobowości politycznej. W

swej obecnej postaci, wzięty jako całość, ruch oporu nie może więc służyć ani za siłę napędową, ani choćby za pas transmisyjny lub czynnik jednoczący.

Żeby stworzyć na bazie ruchu oporu wspomniany, skutecznie pełniący swą rolę element zjednoczenia, trzeba zatem dokonać pewnego wyboru. Wybór ten jest tym bardziej konieczny, że ów ruch wchłonął siłą rzeczy liczne elementy dogłębnie nihilistyczne, określane jako „lewicowi intelektualiści”, dla których nonkonformizm jest sam w sobie wartością absolutną, zamiast być konsekwencją – niekiedy konieczną, ale zawsze ubolewania godną – konkretnej konstruktywnej woli. Trzeba będzie zepchnąć te z gruntu antypaństwowe elementy do właściwej im domeny literackiej, z której wydobyl je tylko bieg wydarzeń. Ale oczywiście nikt nie jest uprawniony do sądzenia i dobierania ludzi wedle własnej woli. Toteż wybór, o jakim mowa, powinien się dokonać poprzez oddziaływanie samej idei politycznej, która odrzuci wszystkich tych, co uznają ją za zbyt „konformistyczną”.

Fakt, że ktoś może się wykazać udziałem w ruchu oporu, jest z pewnością pozytywną wskazówką, którą zawsze warto brać pod uwagę. Nie jest on jednak wystarczającym warunkiem przynależności do nowej, konstruktywnej elity politycznej. Nie jest nawet warunkiem koniecznym tej przynależności. Nie ma bowiem żadnego powodu, by dawny „wiszysta” musiał być od niej odsunięty poniekąd z urzędu. To prawda, że trzeba z niej wyeliminować wszystkich tych, którzy opowiedzieli się za Vichy, bo są ograniczonymi i niepoprawnymi reakcjonistami, lub oportunistami, by tak rzec, z przekonania. niesprawiedliwe i niebezpieczne byłoby jednak chcieć obejść się bez tych wszystkich, którzy wierzyli w „rewolucję narodową” i zgodnie z tym działali. Ludzi działających i wierzących spotyka się bowiem tak rzadko, że powinni mieć prawo niekiedy się mylić, nawet gdyby ich błędy były poważne; a państwu zawsze wolno z pożytkiem posłużyć się kimś gotowym zrobić wszystko dla spełnienia obowiązku, nawet źle rozumianego – choćby dlatego, że obecny kryzys francuski jest w o wiele mniejszym stopniu kryzysem inteligencji i rozeznania niż kryzysem woli i skutecznej wiary. Krótko mówiąc: skoro prezentowana tu idea polityczna powinna mieć zdolność usuwania ściślej czy luźniej związanych z ruchem oporu „nihilistów”, to powinna też być zdolna zjednywać dla siebie byłych „entuzjastów”, bardziej czy mniej „narodowych”, oraz wszystkich tych, którzy cenią sobie dobrze wykonaną, pozytywną pracę.

Mówiąc ogólnie – elita mająca stać się łącznikiem między masami komunistycznymi, generałem de Gaulle’em i obecnymi warstwami kierowniczymi

może się rekrutować ze wszystkich środowisk społecznych i politycznych. A proponowana idea polityczna powinna posłużyć się wszystkimi partiami, które zechcą ją poprzeć.

Nie ulega jednak wątpliwości, że wśród francuskich partii politycznych są takie, które nie mogą stanowić stabilnej bazy politycznej dla imperialnej akcji łacińskiej. Jedną z nich jest partia radykalna. Z racji swego składu socjalnego jest to partia konsumpcji, a nie produkcji, czyli partia, która chciałaby traktować rząd jako zwykłą administrację cywilną, nie zaś reprezentanta wszechmocnego państwa. Toteż przystąpienie Francji do bloku anglosaskiego będzie kusilo tę partię o wiele bardziej niż utworzenie Imperium Łacińskiego, zdolnego zapewnić krajowi autonomię polityczną tylko za cenę długich i ciężkich wysiłków oraz poważnych ograniczeń. Nie wynika stąd jednak, by współpraca parlamentarna i administracyjna z partią radykalną nie była możliwa.

Socjaliści nie są niebezpieczni. Zajmowana przez nich pozycja pomiędzy komunistami i radykałami zmusza ich do przyjmowania kompromisu jako zasady działania. I nawet będą pełnić pożyteczną funkcję, polegającą na miarkowaniu woli potęgi swych sąsiadów z lewa oraz pobudzaniu gorliwości, choćby tylko werbalnej, sąsiadów z prawa. Praktycznie partia socjalistyczna będzie mogła zawsze być wykorzystana bądź w ramach koalicji parlamentarnej, bądź jako lojalna „opozycja”.

O wiele donioślejszy, ale również bardziej delikatny jest problem katolicyzmu. Idzie tu bowiem nie o stosunki polityczne z partią, lecz o porozumienie ideologiczne z Kościołem i ugodę moralną z rzeszą ludzi, którzy rzeczywiście wierzą lub takie mają o sobie mniemanie. Ale ten problem będziemy musieli omówić oddzielnie.

Oddzielnie też należy potraktować niezwykle doniosły problem stosunków idei politycznej i skupionej wokół niej elity – ze środowiskami odpowiedzialnymi za życie gospodarcze kraju. Praktycznie chodziłoby o to, by pozyskać dla idei i włączyć do elity kierowniczy personel przedsiębiorstw prywatnych, próbując przede wszystkim przekonać tych jego członków, którzy nie uzyskali jeszcze tego, co uważają za należną im buławę marszałkowską.

W ostatecznym rachunku ani utworzenie Imperium Łacińskiego, ani nawet gospodarcza i polityczna naprawa Francji nie mogą się dokonać bez uprzedniego utworzenia elity politycznej, która połączyłaby „pozytywnych” członków ruchu oporu, urzędników, którzy zachowali wiarę w państwo, techników kochających swoją pracę dla niej samej i „kapitalistów” przenikniętych jeszcze wolą autonomii, rozwoju

i potęgi ekonomicznej. Bo tylko tego rodzaju elita mogłaby się wznieść ponad „municipalny” konflikt lewicy z prawicą, nie wzlatując przy tej okazji w przeczyste, lecz nie nadające się do oddychania powietrze abstrakcyjnej teorii czy marzenia.

3.

Nawet starania wynikające z konkretnej woli politycznej, realizowane przez elitę i wspierane przez całość społeczeństwa, mają szanse odnieść sukces tylko pod warunkiem, że będą miały podstawy gospodarcze.

Jeżeli chodzi o Imperium Łacińskie – taka podstawa niewątpliwie istnieje. Oczywiście nie znaczy to, że Imperium mogłoby stanowić całkowicie autarkiczną jedność. Trzeba też dodać, że autarkia w tym wypadku nie byłaby ani konieczna, ani nawet pożądana, skoro nadrzędnym celem polityki imperialnej ma być zachowanie neutralności i pokoju, a nie szykowanie się do wojny. Ale terytorium trzech metropolii łacińskich i ich kolonii kryje w sobie tyle zasobów naturalnych, że przy racjonalnej eksploatacji Imperium będzie mogło się zmierzyć ze światowym rynkiem – prawie na równej stopie z istniejącymi już mocarstwami. Będzie mogło zaspokoić wszystkie swoje potrzeby przez zwyczajną wymianę towarów, nie musząc przyjmować niespłacalnych „kredytów”, które w efekcie powodują gospodarcze zniewolenie dłużnika, nie mówiąc już o politycznym.

W tym scenariuszu jest jednak jeden ciemny punkt: węgiel. Imperium Łacińskie będzie rozpaczliwie ubogie w surowce paliwowe. Co gorsza, w przyszłości zapewne będzie miało za mało węgla dla przemysłu opartego na chemii syntetycznej.

To oczywiście poważny problem. Ale czy z tego powodu Francja ma zrezygnować z budowy Imperium Łacińskiego?

Nic na to nie wskazuje – choćby dlatego, że jeśli Francja pozostanie w izolacji, będzie miała tak samo mało węgla, a nawet mniej niż gdyby się stała częścią Imperium. Co więcej, jasne jest, że dopóki kraje łacińskie będą zmuszone importować znaczne ilości węgla, mogą liczyć na zysk jedynie jako grupa – zwłaszcza że Imperium Łacińskie praktycznie będzie miało w tej dziedzinie monopol. Wydaje się pewne, że Anglia, a zwłaszcza Niemcy będą kiedyś musiały eksportować swój węgiel – już to żeby złagodzić skutki bezrobocia, już to żeby zrównoważyć swój bilans handlowy. Ale trudno im będzie sprzedać go komukolwiek innemu niż trzy kraje łacińskiego mocarstwa.

Jest wszakże pewna wyjątkowa i nader korzystna okoliczność, która być może umożliwi Francji, a nawet całemu Imperium Łacińskiemu ostateczne rozwiązanie problemu węglowego. Otóż Niemcy poniosły klęskę, a równocześnie nadal budzą w świecie lęk, zwłaszcza w ZSRR – tymczasem Francja, kraj najbardziej zagrożony ewentualnym odrodzeniem niemieckiego militarizmu, znajduje się w obozie zwycięzców. Trzeba tylko tę okoliczność maksymalnie wyzyskać i zrobić to tak, żeby tymczasowym korzyściom nadać trwały charakter.

W tym celu Francja musiałaby ograniczyć swoje żądania wobec Niemiec do trzech. Jedno z nich jest jednak tak ważne, że pozostałe dwa da się utrzymać jedynie pod warunkiem, że nie będą wchodzić w drogę temu pierwszemu.

Oto do czego sprowadza się owo główne żądanie: Niemcy będą mogły handlować jedynie tymi metalami żelaznymi, które pochodzą z ich terytorium (przy założeniu, że ich wydobycie przynosi zysk). Wielkie piece, huty stali i walcownie niesłużące przetwórstwu krajowego żelaza mają zostać zniszczone, a żelazo, jakiego Niemcy mogą dodatkowo potrzebować (według aliantów), będzie im dostarczać Francja (bądź Imperium) w postaci blachy stalowej. Niemcy będą zobowiązane do corocznego zakupu określonej ilości tej stali (która zostanie im dostarczona po uprzednim sprawdzeniu, czy poprzednia dostawa już została zużyta), a w zamian dostarczą określoną ilość węgla koksowniczego (samo koksowanie będzie już się odbywać na terenie Francji bądź Imperium, a wszelki import koksu będzie tam zakazany; co więcej, kurs wymiany stali i węgla należy wyliczyć tak, by w ciągu dziesięciu lat pokrył należną Francji kwotę reparacji wojennych).

To pokazuje, jak niesłuchanie korzystnym krokiem byłoby dostarczenie Francji (a tym samym również Imperium) środków, które pozwolą jej wymóc na Niemcach stałe poszanowanie zawartych umów. Aby zbudować wielki piec lub hutę stali, trzeba 18 miesięcy, a Niemcy musiałyby je budować, żeby w dalszej perspektywie móc złamać swoje zobowiązania. O ile będą wykorzystywać potencjał swego przemysłu ciężkiego, nie przekraczając limitów – nie ma powodu wątpić w ich uczciwość. Z chwilą gdy przystąpią do budowy nowych wielkich pieców, hut i walcowni (nietrudno będzie to stwierdzić), Francja zacznie wykorzystywać stal przeznaczoną na eksport do rozbudowy własnego przemysłu wojennego (zapasów nie będzie musiała gromadzić). Pod koniec osiemnastomiesięcznego okresu Niemcy będą dopiero przystępowały do produkcji stali na potrzeby ciężkiego sprzętu bojowego (rzecz nieodzowna nawet w razie zastosowania „bomb atomowych”), a Francja będzie już dysponować

dostatecznym uzbrojeniem, by zmiądzzyć napastnika. Innymi słowy, Niemcy będą już zawsze przestrzegać konwencji żelazno-węglowej, korzystnej dla Francji i Imperium Łacińskiego.

Wprowadzenie tego pomysłu w życie z pewnością nie będzie łatwe; trzeba się też spodziewać ostrego sprzeciwu Anglii. Być może jednak USA nie będą już usposobione tak wrogo, a ze strony ZSRR być może dałoby się uzyskać aktywne wsparcie. Poza tym można się odwołać do międzynarodowej opinii publicznej, a nawet do niektórych środowisk brytyjskich, mówiąc o bezpieczeństwie, o walce z faszyzmem i władzą karteli, o planie, który w praktyce oznaczać będzie dekoncentrację przemysłu ciężkiego na kontynencie i jego podział między Francję a Zagłębie Ruhry. Nie bez znaczenia byłby też argument, że proponowana przez nas redystrybucja ma sens ekonomiczny, albowiem korzystniej jest wozić węgiel z Rud Ruhry do Lotaryngii niż rudę żelaza z Lotaryngii do Niemiec. (Zresztą nawet dla zwykłych Niemców ta tymczasowa wymiana na sztucznych warunkach byłaby bardziej do przyjęcia niż spłacanie reparacji wojennych gotówką).

Jeżeli koncepcja stalowo-węglowa zostanie przyjęta, a Francja nadal będzie zdolna stawiać jakies żądania, to należałoby też koniecznie zażądać aneksji Saary – pod warunkiem że będzie można stamtąd wysiedlić ludność niemiecką. Dzięki tej aneksji Francja i Imperium Łacińskie zyskałyby dodatkowe złoża węgla.

Ponadto – ale dopiero w trzeciej kolejności – można by ze względów bezpieczeństwa zabronić Niemcom produkcji kwasu siarkowego na większą skalę, a potrzebne niemieckiemu rolnictwu superfosfaty dostarczałyby Francja – zawsze w zamian za węgiel (tymczasowo wymiana ta odbywałaby się na sztucznych warunkach, korzystnych dla Francji).

Krótko mówiąc, Niemcy musiałyby posłużyć Imperium Łacińskiemu jako kopalnia węgla. Tak więc handel między Imperium a Niemcami będzie się rozwijał i nic tego rozwoju nie powstrzyma – pod warunkiem że ta wymiana zaspokoi węglowe potrzeby Imperium. Przewaga wojskowa miałaby tylko jeden cel: aby ta wymiana, pod innymi względami całkiem normalna, zachowała stabilność ilościową i jakościową w kwestii węgla. A przecież nie ma wątpliwości, że jeśli nawet Francja odstąpi część niemieckiego węgla Włochom i Hiszpanii, to samo przywództwo w studwudziestomilionowym Imperium zagwarantuje jej własny udział skuteczniej, niż gdyby pozostała w izolacji.

Oczywiście międzynarodowe układy, które trzeba by narzucić Niemcom, nigdy nie są „wieczne” – nawet jeśli ich przestrzeganie gwarantować będzie stosowna siła wojskowa. W polityce jednak nie sposób opierać się na zbyt odległej przyszłości. A jeśli już, to łatwo można sobie wyobrazić wykorzystanie energii przyływów morskich, co zmieniłoby radykalnie sytuację energetyczną Francji i Imperium Łacińskiego.

Jeżeli więc Imperium będzie sprawnie manewrować, będzie miało możliwości gospodarcze, które trzeba uznać za wystarczające. Aby jednak te możliwości były coś warte w praktyce, trzeba je zrealizować. Tymczasem ich realizacja wymaga od Imperium wysiłku woli – zwłaszcza ze strony Francji, która musi wystąpić w roli imperialnego arsenału, skupiając na swoim terytorium łaciński przemysł ciężki (zapewni jej to władzę polityczną nad całością Imperium).

Niestety, we Francji od jakiegoś już czasu da się zaobserwować pewien niedostatek woli ekonomicznej – nie mniej wyraźny niż brak konkretnej woli politycznej, który jest oczywistością. Brakuje owej woli gospodarczej autonomii, która w innych krajach zachęca producentów do tworzenia wielkich monopolii „pionowych”; brakuje woli ekspansji, która gdzie indziej skłania finansistów do „poziomej” koncentracji środków i zachęca biznes do podboju rynków światowych; brakuje wreszcie ekonomicznej woli mocy, będącej niekiedy przyczyną produkcji i inwestycji, które trudno uzasadnić czysto materialnym zyskiem. Nie ma jednak powodu, by uważać te dobrze znane słabości „sektora prywatnego” za trwałe i nieuleczalne.

To kolejna sprawa, w której aktywna elita narodu może i musi interweniować. Nowa idea polityczna – otwierająca nowe perspektywy, a zarazem niezdolna do tego, by przybrać postać „narodową” – mogłaby w środowisku pobudzić na nowo ekonomiczną wolę autonomii, ekspansji i mocy wśród „młodych menedżerów”, a przede wszystkim w środowiskach administracyjnych i technicznych, dążących do „sukcesu”. Umożliwiłoby to Francji niezbędne inwestycje w budowę odpowiednio potężnej i trwałej ekonomii mocarstwowej. Jeżeli zresztą podobna odbudowa nie nastąpi, utopią stanie się nie tylko idea Imperium Łacińskiego, ale nawet „narodowe” odrodzenie Francji.

Niekiedy pojawiają się sugestie, że słabościom francuskiego „sektora prywatnego” należy przeciwdziałać poprzez rozległą „nacjonalizację”. Nie wydaje się jednak, by był to dobry pomysł. Jeżeli bowiem obecnym klasom panującym zabraknie śmiałości, skuteczności i woli ekonomicznej – należy wątpić, czy tymi cnotami wykażą się

drobni i średni posiadacze, czyli środowiska, z których rekrutują się francuskie elity administracyjne. O ile władzy nie przejmie jakaś całkiem nowa klasa społeczna – słowem, o ile nie dojdzie do prawdziwej rewolucji (rzecz nie do pomyślenia choćby ze względu na położenie geograficzne Francji), trzeba się oprzeć na elitach burżuazji, i to od tej właśnie klasy należy oczekiwać niezbędnych działań na rzecz gospodarczego odrodzenia i mocarstwowej ekspansji narodu francuskiego.

Tak czy inaczej, gospodarka etatystyczna ma szanse jedynie wówczas, gdy będzie miała wystarczający zasięg. Innymi słowy: jeżeli nacjonalizacja nie ma być utopijna, fragmentaryczna i tym samym nieskuteczna, a nawet całkowicie fikcyjna, trzeba ją zastosować całościowo do gospodarki typu *i m p e r i a l n e g o*. Pragnienie nacjonalizacji jest zatem bez sensu, o ile nie towarzyszy mu pragnienie Imperium.

Lepiej byłoby jednak – przynajmniej na początek – budować i rozwijać gospodarkę imperialną przy pełnej zgodzie tych klas, które dziś kierują gospodarką trzech państw łańskich. Rządy narodowe i państwo imperialne miałyby nie tyle „kierować” gospodarką, co raczej ją „pobudzać”. W praktyce wystarczyłoby wprowadzenie ceł na podstawowe surowce, energię i siłę roboczą w przemyśle, przy równoczesnym zapewnieniu pełnej swobody ich wykorzystywania. Z kolei aby zapewnić racjonalną politykę inwestycyjną na terenie Imperium, prawdopodobnie wystarczyłoby wprowadzić zakaz inwestowania za granicą. Wola polityczna państwa powinna zastępować wolę o charakterze ściśle ekonomicznym jedynie tam, gdzie ta ostatnia daje oznaki słabości.

Imperium z pewnością będzie musiało sprawować kontrolę nad handlem zagranicznym, aby jego wysiłek ekonomiczny nie został zniweczony przez konsumpcję ponad stan. Jednak również i tu wystarczy nakreślić ogólne wytyczne, wykonanie pozostawiając prywatnym ekspertom. Wydaje się, że ta „liberalna” wersja *dirigisme* może zostać zrealizowana przy pomocy jedyne narzędzia, jakie umożliwia państwu kontrolę nad finansami. Praktycznie rzecz biorąc, działania polityczne Imperium muszą mieć wsparcie w postaci finansowych manewrów łańskiego „bloku frankowego”, odpowiadającego istniejącym blokom dolarowym, funtowym i rublowym.

4.

Wysiłek polityczny i ekonomiczny, jaki Francja włoży w utworzenie Imperium łańskiego, nie może i nie powinien obyć się bez poparcia Kościoła katolickiego,

który reprezentuje potęgę ogromną, chociaż trudno obliczalną i jeszcze trudniejszą do pozyskania.

Nie ulega wątpliwości, że to katolicyzm wykuł i wyraził pierwotne energie, do tej pory służące za najgłębsze źródło duchowe całości życia francuskiego i w ogóle łacińskiego. Byłoby więc rzeczą naturalną i normalną, gdyby rząd starał się skoordynować swoją imperialną akcję – wyraz katolicyzmu zlaicyzowanego czy też świeckiego – z tym, jak tenże katolicyzm wypowiada się w Kościele i poprzez Watykan.

Powodzenie akcji imperialnej zakłada jednak nie tylko radykalną reformę polityczną rządów łacińskich, ale też głęboką przemianę Kościoła katolickiego, zwłaszcza jego gałęzi włoskiej i hiszpańskiej. Należałoby przede wszystkim „zdezitalianizować” Watykan, nie otwierając go wszelako na nazbyt wyłączone wpływy amerykańskie. Znaczy to, że Francja, a później Imperium powinny zaspokajać potrzeby materialne centralnych i międzynarodowych organizacji Kościoła. Ale znaczy to również, że Watykan powinien przewyciężyć swoją nieufność, dogmatyczną i inną, wobec Kościoła francuskiego i zrozumieć, że unia łacińska, do której od dawna dąży, może się dokonać tylko z inicjatywy Francji i wedle przez nią sformułowanego programu. Otóż wolno mieć nadzieję, że właśnie „katolickość” idei łacińskiej da Kościołowi siły konieczne do uwolnienia katolicyzmu z podziałów i ograniczeń, które wnosił doń pozachrześcijański pierwiastek „narodowy” oraz sprzężone z owym pierwiastkiem formy ekonomiczne i socjalne.

W istocie właśnie ze względu na swoją „katolickość” Kościół zawsze wykraczał poza różnorakie ramy, narzucane na każdy naród i przez każdy naród. Ale też Kościół sam odczuł na sobie skutki walki „antynarodowej”. Tak to odwieczna dialektyka Kościoła (katolickiego) i państwa narodowego doprowadziła w końcu w epoce liberalnej do doktryny i praktyki „rozdziału”. Wszelako okres liberalny, bądź też narodowy czy nacjonalistyczny należy już do przeszłości, toteż na wszystkie problemy trzeba spojrzeć na nowo z imperialnego punktu widzenia. Wracamy więc w pewnej mierze do czasów Grzegorza VII, z tą jednak różnicą, że na płaszczyźnie politycznej Kościół będzie miał odtąd do czynienia z Imperium nie przednarodowym, lecz ponarodowym. A to zmienia całkowicie sytuację, wymagając znów stanowiska i decyzji „totalnych”.

Jeśli ludzkość rzeczywiście zintegrowana, czyli zjednoczona politycznie, socjalnie i gospodarczo, zachowa jeszcze jakąś strukturę kościelną, to będzie jej mógł dostarczyć

tylko Kościół uniwersalny, a więc katolicki we właściwym i mocnym sensie tego słowa. Faktem jest jednak, że następstwem realnego rozdrobnienia ludzkości był podział dążącego do powszechności chrześcijaństwa na trzy wielkie, autonomiczne i rywalizujące ze sobą Kościoły. Chrześcijańska, czyli uniwersalistyczna istota tych Kościołów pozwalała im zawsze przekraczać narzucane im granice ściśle narodowe (i z pewnością to Kościół katolicki, najbardziej ze wszystkich uniwersalistyczny, zdołał najlepiej przewyciężyć wszelkie pokusy „gallikańskie”⁷). Sam fakt odrębności trzech Kościołów chrześcijańskich czyni jednak na razie utopijnymi ich skłonności do ekspansji powszechnej: żaden z nich bowiem w swojej obecnej postaci nie będzie w stanie, bez względu na wszystko, stać się powszechnym, nie będąc wyłącznym (czyli nie wykluczając innych). Wydaje się więc, że niezbędną przeciwwagą polityczną istnienia rozdzielonych Kościołów będzie istnienie pomiędzy narodami a ludzkością formacji pośrednich, czyli formacji imperialnych. I w istocie Kościół protestancki związał się od początku ze światem anglosaskim, który teraz właśnie wchłania świat germański. Kościół prawosławny, który – zdawało się – był skazany na utratę Imperium Rosyjskiego, w istocie odnalazł formujące się właśnie Imperium słowiańsko-sowieckie. Co do Kościoła katolickiego, to być może będzie on miał już wkrótce możliwość zbliżenia z Imperium Łacińskim.

Rozpatrując sytuację z historycznego punktu widzenia, wydaje się, że to w tym Imperium Łacińskim Kościół katolicki powinien w tej chwili szukać rzeczywistej podstawy, bez której żaden Kościół nie może się obejść. Będąc Kościołem wybitnie chrześcijańskim, ale przecież w tej chwili tylko jednym z trzech faktycznie istniejących Kościołów chrześcijańskich, Kościół katolicki chyba nie może pozwolić sobie na lekceważenie poparcia – „realistycznego”, to prawda, ale może również realizatorskiego – jakie mogłby uzyskać od formacji imperialnej wykraczającej poza sztywne i ciasne granice narodów, a zarazem niezatracającej się w odległej i jeszcze niejasnej zjednoczonej ludzkości. Z oczywistych względów historycznych może to być tylko formacja łacińska. Po raz pierwszy zatem na porządku dziennym mogłaby się znaleźć jakaś polityka katolicka. A łacińska inicjatywa polityczna o inspiracji chrześcijańskiej byłaby może w stanie stowarzyszyć się z wolą chrześcijańską, realizującą się w katolicyzmie o orientacji łacińskiej i za jego pośrednictwem. Wydaje się zresztą, że Watykan zaczyna zdawać sobie sprawę (choćby w związku z problemem polskim⁸), że era zwykłych konkordatów między Kościołem a poszczególnymi państwami minęła i sytuacja wymaga współpracy obu władz, bo

tylko ona jest zdolna odsunąć ostatecznie ryzyko konfliktu między nimi. I przeciwnie – po stronie świeckiej obserwuje się w krajach łacińskich, a zwłaszcza we Francji ogólny kryzys świadomości czy ideologii, który sprawia, że część opinii publicznej pragnęłaby pojawienia się jakichś konkretnych idei politycznych, socjalnych, ekonomicznych, prezentowanych lub wspieranych przez Kościół. I o ile nie można oczywiście powiedzieć, że wszyscy „ludzie dobrej woli” we Francji przyjmują bez zastrzeżeń ideę współpracy z Kościołem, o tyle nie ulega wątpliwości, że Kościół zdołał tu skupić pod swoim patronatem polityczny materiał ludzki bardzo wysokiej jakości.

To prawda, że nie może być mowy o sprowadzeniu Kościoła katolickiego do poziomu Kościoła prawosławnego czy nawet protestanckiego, o uczynieniu zeń Kościoła „imperialnego” czy też łacińskiego. Jego powołaniem jest pozostać Kościołem powszechnym *in potentia* i nadal powinien on widzieć w swej powszechności najwyższy cel wszystkich swych działań. Może się jednak okazać, że właśnie realizacja tego ideału wymaga trwałej współpracy z imperialnym łacińskim podmiotem politycznym. O ile Kościół miał z pewnością rację, zwalczając Święte Cesarstwo (niemieckie), w istocie przedwczesne, o tyle zapewne błędem z jego strony byłoby wiązać się nadal z historycznie przestarzałym światem narodów i nie dostrzegać będących obecnie na porządku dnia ruchów imperialnych. Zresztą interesując się nimi, przyjmując patronat duchowy nad Imperium Łacińskim, Kościół katolicki miałby do spełnienia konkretną i swoistą rolę polityczną. Musiałby stale przypominać Imperium, że jest ono jedynie pewnym etapem ewolucji historycznej, który zostanie kiedyś przekroczone. Inaczej mówiąc – powinien czuwać nad tym, by Imperium nie zastygło w granicach imperialnych, tak jak narody zastygły w swoich, zdając na wojny trud ich przełamywania. Krótko mówiąc – katolickość idei łacińskiej powinna jej pomóc być imperialną, nie stając się nigdy imperialistyczną, wraz z tym wszystkim, co z tego wynika.

Ze swej strony Imperium Łacińskie mogłoby może przyczynić się do urzeczywistnienia najwyższego celu katolicyzmu, jakim jest jego przekształcenie się w Kościół powszechny i jedyny. Tak więc na przykład współpraca polityczna Imperium z ZSRR mogłaby być preludem do coraz głębszego porozumienia między Kościołem katolickim a prawosławiem grecko-słowiańskim, porozumienia, które uczyniłoby kiedyś zbędną niezawisłość kanoniczną tego drugiego.

Jakkolwiek by było, jest rzeczą oczywistą, że prawdziwy związek Kościołów wymaga uprzedniego rzeczywistego zjednoczenia rodzaju ludzkiego, a takie zjednoczenie może się dokonać tylko pod warunkiem, że wiodąca do niego ewolucja historyczna przejdzie przez okres koncentracji typu imperialnego i „wyznaniowego”. Tylko przechodząc przez takie stadium, a następnie je przewyciężając, ludzkość będzie mogła dojść do stanu ostatecznej jedności, który pozwoli na zawsze wyeliminować konflikty polityczne, gospodarcze i społeczne. I wtedy dopiero będzie można odpowiedzieć na pytanie, czy nieskończona przyszłość należy do przewidywanej i zalecanej przez niektórych humanistycznej areligijności, czy do tej chrześcijańskiej katolickości, będącej ostatecznym celem i jedyną racją bytu chrześcijaństwa katolickiego, które zrodziło – między innymi – duchowy świat łaciński.

Przełożył Wiktor Dłuski

(Fragment IV.1. tłumaczył Łukasz Sommer)

Powyższy tekst jest przedłożonym 27 sierpnia 1945 roku raportem przygotowanym przez Alexandra Kojève dla generała de Gaulle. Podstawą polskiego tłumaczenia jest francuskie wydanie tekstu w „La regle du jeu”, maj 1990, nr 1. Fragment IV.1. tekstu pochodzi z angielskiej wersji tekstu Kojève z „Policy Review”, nr 126, którego nie ma we francuskim wydaniu tekstu.

¹ Nie jest jasne, jakich cywilnych gości ma na myśli Kojève, wiadomo jednak, że amerykańskie wojska wyzwolenicze przebywały na terenie Francji od lądowania w Normandii 6 czerwca 1944 roku. Andrew Thomson w podsumowaniu swego doktoratu na temat podaje, że w sierpniu 1945 Francuzi „mieli już do Amerykanów pretensje o opieszałość w uznaniu Rządu Tymczasowego, braki w dostawach, łagodne traktowanie jeńców niemieckich, nadmierne wymagania i niewłaściwe zachowanie części żołnierzy wobec Francuzek (<http://www.drttours.co.uk/Pages/PhDconclusion.html>).

² „Małą Ententą” nazywano obronny sojusz wojskowo-gospodarczy utworzony w latach 1920-21 przez Czechosłowację, Rumunię i Jugosławię, mocno związany z politycznymi i gospodarczymi interesami Francji i dążący do zachowania powojennego *status quo*.

³ W czasie gdy powstał tekst Kojève’a, Bizeta – miasto portowe w Tunezji – była drugim co do wielkości portem Francji. Tunezja zdobyła niepodległość w roku 1956.

⁴ Generalissimo Francisco Franco (1892–1975), który rządził w Hiszpanii w latach 1939–1975, bywał też nazywany *el Caudillo*, czyli „Wodzem”.

⁵ *Falange Española Tradicionalista y de las Juntas de Ofensiva Nacional Sindicalista* (Hiszpańska Falanga Tradycjonalistyczna i Zjednoczona Ofensywa Narodowo-Syndykalistyczna) od roku 1938 była państwową partią Hiszpanii.

⁶ Podczas konferencji poczdamskiej w lipcu 1945 roku Truman i Churchill sprzeciwili się Stalinowi, który domagał się wspólnych działań aliantów przeciw Hiszpanii. Franco od końca 1943 roku czynił wobec aliantów ograniczone gesty koncyliacyjne, ale wbrew temu, co pisze tu Kojève, stosunki Hiszpanii z USA i Wielką Brytanią pozostały chłodne. Tuż po wojnie Hiszpania została wykluczona z ONZ (stan ten trwał do 1955 roku); nie objął

jej też Plan Marshalla. Jakkolwiek brytyjska Partia Pracy nie stroniła od ostrej retoryki antyfrankistowskiej, rząd Clementa Attlee prowadził wobec Hiszpanii tę samą politykę ostrożnej neutralności, której początek dał Churchill.

Wpływ, o którym pisze Kojève, wiąże się z sojuszem angielsko-portugalskim, który przybrał postać oficjalnego traktatu w roku 1373 i od tamtej pory był regularnie odnawiany – ostatnio w roku 1943. Od roku 1912 niektórzy przedstawiciele brytyjskiego MSZ dążyli do osłabienia tego sojuszu, ale strategiczne znaczenie portugalskich kolonii i wysp sprawiło, że przetrwał on do końca II wojny światowej. Z tych samych względów Brytyjczycy postanowili bronić sojuszu z Portugalią po tym, jak w 1932 roku władzę objął faszystowski premier Antonio de Oliveira Salazar (1889–1970). Por.: Glyn Stone, *The Official British Attitude to the Anglo-Portuguese Alliance, 1910-1945*, *Journal of Contemporary History* 10:4 (październik 1975).

⁷ Ruch gallikański działał pod koniec Średniowiecza na rzecz autonomii politycznej i kościelnej Francji wobec Rzymu. Jakkolwiek nie odniósł większych sukcesów, francuscy królowie trzymali się jego wytycznych aż do rewolucji 1789, a francuski kler – do I Soboru Watykańskiego w 1870 roku, kiedy to dogmat o nieomyślności papieskiej spowodował marginalizację gallikanizmu.

⁸ Konkordat z 1925 roku między nowo powstałym państwem polskim a Kościołem katolickim przyznawał Kościołowi autonomię w sprawach dotyczących religii, moralności, szkolnictwa i działalności gospodarczej. Wprawdzie polskie władze uniemożliwiły konkordat dopiero w roku 1948, jednakże problemem, o którym pisze tu Kojève, był już dla Watykanu sam fakt, że powojenna Polska znalazła się w radzieckiej sferze wpływów.